Zakład Narodowy im. Ossolińskich

DZIAŁ RĘKOPISÓW

Rkps 15437

„JAROSŁAW SUCHORSKI JAREMA: MIGAWKI UKRAIŃSKIE".

WSPOMNIENIA Z LAT 1913-1939.

Pol. 1964. Część 5

19/73/4

Jarosław Suchorski

Jarma

Migawki Ułańskie

cz. V.

15137

15437 I/4

BIBLIOTEKA OSSOLINEUM

Zeszyt szkolny 60 kart.
z pap. piśm. kl. III

ŁÓDŹ

PN-62/P-50602
Cena detal. zł 2·30

ŁÓDZKIE ZAKŁADY WYROBÓW PAPIEROWYCH

Jarosław Suchowski
Jarema

OKRES SŁUŻBY
w
Kawalerii K.O.P.
1935-1939

CZĘŚĆ V

Franciszek Kot - plutonowy Szwadronu kawalerii K.O.P. Olkieniki - dca plutonu C.K.M. - z wilkiem „Czarusiem" - 1938 r.

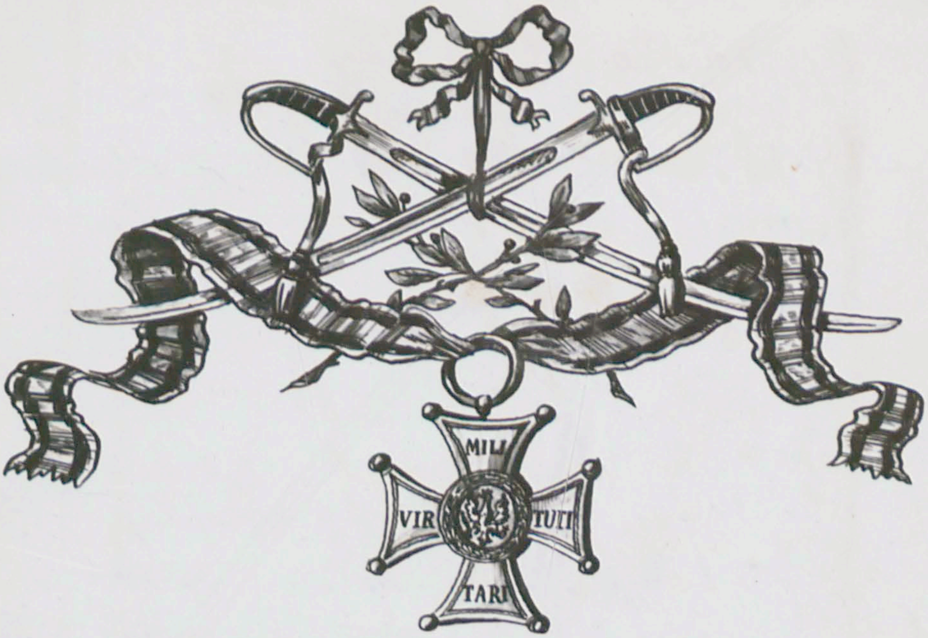

Dnia 28 lutego 1966 roku, w chwili gdy dokonywałem korekty mych „Migawek Ułańskich" listonosz doręczył mi list z Londynu od Redaktora kwartalnika „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej"

List ten przyniósł mi nieopisaną radość i dumę, których już nic w życiu nie zdoła przewyższyć. Z listu tego dowiedziałem się, że za Kampanię Wrześniową w 1939 roku, (w której brałem udział jako dowódca Oddziału Rozpoznawczego ~~Podolskiej~~ x Brygady Kawalerii w Grupie Operacyjnej Generała Franciszka Kleeberga), odznaczony zostałem

KRZYŻEM SREBRNYM ORDERU WOJENNEGO

VIRTUTI MILITARI

(Dz. Rozk. Nacz. Wodza i Min. ON Nr 5, R XXIX, Londyn 31. X. 1947)

Fakt ten jest ukoronowaniem mojej służby ułańskiej w Polskiej Kawalerii.

Pisząc „Migawki" wkładałem w nie swe serce — dziś wkładam w nie jeszcze i moją dumę.

x Podlaskiej

Jarosław Jarema Suchorski

6

Poprawka.

Wykonawca drugostronnego tekstu pomylił nazwę Brygady kawalerii - napisał „Podolskiej" B.K. powinno być: „Podlaskiej" Br. Kaw.

26. III. 1966. [signature]

Legitymacja M.O.N. N D.K. - 0811
z dn. 18. VI. 1966 Warszawa

Legitymacja M.O.N. N 12 243 z dnia
15. VIII. 1948 London
Biuro Kapituły Orderu
Woj. Virtuti Militari

N orderu 9994. [signature]

Ułan - kawalerii K.O.P.
z lat 1925-1939.

Mal. Jan Dąbrowski

Na wypadek mobilizacji do wyposażenia ułana K.O.P. dochodziły: łopatka, maska gaz. chlebak, - bez lanc.

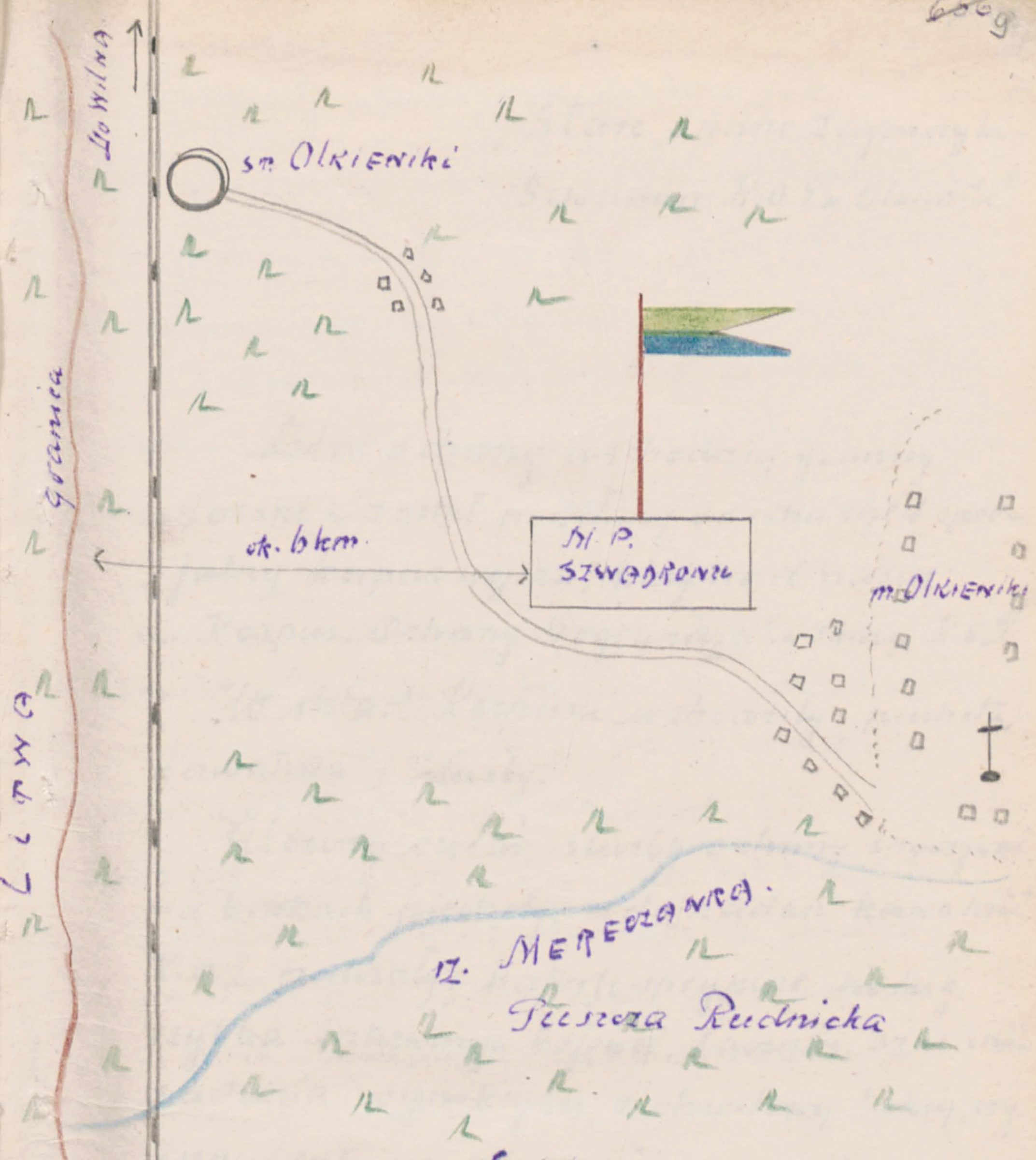

Szkic

miejsca postoju szwadronu kawal. K.O.P. Olkieniki.

m. Olkieniki, pow. wileńsko-trocki,

wojew. Wileńskie.

1925 – 1939

„Stare, znane zagończyki -
Szwadron K.O.P. „Olkieniki"

Dla ochrony wschodniej granicy Polski - został powołany od roku 1924 specjalny korpus wojska, który nosił nazwę: „Korpus Ochrony Pogranicza" w skrócie K.O.P.

W skład Korpusu wchodziły: piechota, kawaleria i służby.

Główny ciężar służby ochrony spoczywał na barkach piechoty, a do zadań kawalerii K.O.P. należały: patrole specjalne, pościg, szybka interwencja bojowa, łączność, oraz inne zadania wynikające z chwilowej taktyki, czy innej sytuacji na granicy.

K.O.P. pełnił służbę na granicy: radzieckiej, litewskiej, łotewskiej i częściowo rumuńskiej.

12 6 ~~58~~

Na całym pograniczu Państwa Polskiego - linia graniczna miała charakter stały, wytyczona była państwowymi znakami granicznymi (słupy graniczne), a stosunki z sąsiadem - uregulowane.

Wyjątek stanowiła granica litewska - przez oba państwa. - Polskę i Litwę uważana za „czasową", - dlatego zamiast znaków granicznych - wytyczona była wiechami ze słomy na długich żerdziach, a stosunki graniczne żadne, a nawet wrogie do nas.

Od chwili przyjęcia służby na pograniczu przez K.O.P. panował tam spokój zakłócany od czasu do czasu przerzutami szpiegów, czy dywersantów; natomiast na pograniczach oprócz radzieckiego - kwitł przemyt nie dający się zlikwidować.

K.O.P. posiadał 19 szwadronów i dywizjon szkolny kawalerii rozrzuconych po całym pograniczu.

Szwadrony stacjonowały w pasie przygra-

do str. 65813

BIBLIOTEKA OSSOLINEUM

nicznym w punkach oddalonych od granicy o 7 - 10 km.

Oficerowie i podoficerowie zawodowi przydzielani byli z pułków kawalerii, cieszący się się opinią „wybitny", a kontygent ułanów rok rocznie przybywał również z pułków kawalerii, po odbyciu rocznej służby w pułku, i z reguły materiał pod każdym względem doborowy.

Wyposażenie i konie - doskonałe, tak że szwadrony kawalerii K.O.P. stały się jakby „gwardią", tak samo zresztą jak i jednostki piechoty K.O.P.

Wyszkolenie bojowe, i granicznej służby, dyscyplina, wychowanie obywatelskie - stały bardzo wysoko, co K.O.P. wysuwało na czoło W.P.

Uposażenie oficerów i podoficerów zaw. było prawie o 50% wyższe niż w Armii, a siłą warunków bytu - wydatki prawie o 50% niższe, niż w pułkach armii.

Służba natomiast była bardzo ciekawa, miała bowiem „posmak" wojenki - podobny do czasów „Potopu" Henryka Sienkiewicza

Uważaliśmy służbę w K.O.P. za zaszczyt.

Dumny jestem, że dano mi było służyć w

w Polskiej Kawalerii - wogóle, a w kawalerii K.O.P. - szczególnie

W roku 1935 przeniesiony zostałem do K.O.P. z przydziałem do Szwadronu kawalerii K.O.P. Olkieniki (miejscowość ta należy obecnie do Litwy i nazywa się Valkininkai)

W Szwadronie tym zakończyłem moją zaszczytną długoletnią służbę ułańską w dniu 6 października 1939 roku po bitwie Grupy Operacyjnej „Polesie" Generała Franciszka Kleeberga w Podlaskiej Brygadzie Kawalerii z hitlerowskim najeźdźcą - pod Kockiem.

W dniu 5.10.1939... poraz ostatni w mundurze oficerskim polskiego ułana dosiadałem bojowego konia, oraz w dniu tym poraz ostatni wydałem rozkaz:

– Szwadron!... na moją komendę!

O działaniu Szwadronu w kampanii 1939 roku - wspominam przy końcu tej części „Migawek."

Służbę w Szwadronie kawalerii K.O.P.

Olkieniki - uważam za okres najmilszy w moim życiu w Nowej Ojczyźnie - w Polsce.

Warunki służby, doskonałe stosunki w szwadronie, posmak „Kmicicowych" czasów, dobre uposażenie a mniejsze wydatki - stworzały to, - czego w pułku nie było.

Mój szwadron stacjonował, jak już wspomniałem na pograniczu litewskim w miasteczku Olkieniki położonym na skraju Puszczy Rudnickiej, na brzegu Merczanki, oddalonym od granicy o 6 km.

Koszary mieściły się w dawnym prawosławnym klasztorze, stajnie natomiast zostały dobudowane.

Oficerowie i podoficerowie zawodowi mieszkali częściowo w klasztorze, częściowo na wsi w chłopskich chatach.

Olkieniki - miasteczko, wraz ze wsią tej że nazwy liczyły wówczas około 1600 mieszkańców.

Nie było to jednak, tak zupełnie zapadłe miasteczko i „świat zabity deskami," - gdyż do stacji kolejowej tej że nazwy - odległości 8 km. dobrej drogi /stacja linii kol. Warszawa - Wilno/ - do Wilna

około 70 km.

Kursował także dwa razy dziennie autobus, Olkieniki - Wilno.

Życie towarzyskie układało się zupełnie przyjemnie, gdyż oprócz szwadronu stacjonowała też Odwodowa Kompania K.O.P. w której było 3-4ech oficerów, część z rodzinami, - poza tym: lekarz - kobieta, bardzo miła dr Rokoyżo, nadleśnictwo, kilku leśniczych w okolicy, proboszcz i jego „subaltern", nauczyciele, gmina, a w okolicach - przemiłe dworki litewskie.

Doskonałe stosunki służbowe i towarzyskie zawdzięczać należy majorowi Stanisławowi Rusieckiemu, ówczesnemu rotmistrzowi i dowódcy szwadronu.

Major Stanisław Rusiecki - typ rasowego kawalerzysty, kawaler Orderu „Virtuti Militari" i Krzyża Walecznych z dwoma okuciami - był organizatorem szwadronu i dowodził nim 10 lat (1926 - 1936)

Doskonały oficer kawalerii, wymagający, ale sprawiedliwy przełożony - więcej niż dobry kolega. Był On szanowany i lubiany przez

Major Stanisław Rusiecki
ówczesny rotmistrz - dowódca Szwadronu
Kawalerii K.O.P. Olkieniki od 1926 do 1936r.
Zginął w hitlerowskim obozie zagłady
w Oświęcimiu w 1943 roku.

20 ~~664~~

Fragment gmachu w którym kwaterował
Szwadron kaw. K.O.P. Olkieniki.
x okno gabinetu dowódcy szwadronu,
xx wejście do kancelarii szwadronu.
Rotmistrz Stanisław Rusiecki z żoną
rok. 1934.

podwładnych mu oficerów, podoficerów i ułanów, a także przez całe społeczeństwo Olkienik i okolic.

Stworzył On doskonałą atmosferę w szwadronie i w stosunkach ze społeczeństwem, która stała się tradycją - pielęgnowaną przez nas pieczołowicie - po Jego odejściu.

W roku 1936 został awansowany do stopnia majora, co spowodowało przeniesienie - odejście do 23go Pułku Ułanów Grodzieńskich na stanowisko kwatermistrza pułku.

Byłem ogromnie zadowolniony, że trafiłem właśnie do Niego. Byliśmy obaj „bojowymi" oficerami i pokrewni duchem, bowiem w wojnie 1918-1920, - On służył w słynnej jeździe majora Dąbrowskiego, a ja... w sławnej Jeździe majora Jaworskiego.

Stąd i żórawiełka na szwadronie:

„ Stare, znane zagończyki -
Szwadron K.O.P.'a Olkieniki"

Do szwadronu nie jechałem, a... leciałem na skrzydłach.

Wysiadłem na stacji Olkieniki; - przed stacją stała bryczka zaprzężona w parę pięknych gniadoszy - na koźle ułan K.O.P'u.

Na mój widok - dziarsko „rzucił" głową w moim kierunku i zameldował:

- Panie poruczniku! - starszy ułan ... X melduję posłusznie - przyjechałem po pana porucznika!

Usadowiłem się, - starszy ułan ruszył, a Puszcza Rudnicka spotkała mnie przepiękną melodią borów.

Cztery lata... całą piersią wdychałem zapach tej cudnej puszczy i słuchałem jej melodii.

Zameldowałem się u rotmistrza - serdecznie mnie przywitał:

- Doskonale, że to właśnie ty przyszedłeś do Szwadronu, - ja siedzę tu już 10 lat, a teraz ty „pobawisz" się, a ja ... odpocznę.

Dał mi rzeczywiście duże możliwości działania.

Po roku - po awansie odszedł, a na jego miejsce został mianowany rotmistrz Stanisław

Kowalewski z 22go Pułku Ułanów Podkarpackich
Był to również doskonały przełożony i najlepszy
kolega - (zginął podobno w Katyniu)

Pisząc wspomnienia z tego okresu mej służby-
oczcs Waszą pamięć - Panie Majorze Pisiński i
Panie Rotmistrzu Kowalewski - i tak bardzo
Was serdecznie wspominam kochani Koledzy

Do kadry podoficerów zaw. szwadronu na-
leżeli:

st. wachm. Kuala - szef szwadronu,
wachm. Tadeusz Wiszniewski - kawaler orderu
Virtuti Militari 5 kl. - dca 1go plutonu
wachm. Władysław Butwiłowski - dca 2go plutonu,
plutonowy Franciszek Kot - dca plutonu C.K.M.
wachm. Ludwik Niedziałkowski - zaopatrzeniowiec szt.
i podof. gospodarczy
oraz młodsi podoficerowie liniowi: plut. Wozak,
plut. Stanisław Borkowski, kpr. Kuczyński oraz
podkuwacz (doskonały fachowiec) plut. Stanisław
Kula.

Wachm. Wiszniewski zamordowany przez

Gestapo, plut. Kot zamordowany bestialsko w 1940 w Olkienikach przez litewskich sługusów hitleryzmu.

Kapral Kurzyński wyróżnił się podczas działań bojowych w kampanii 1939 roku – przedstawiłem go do Orderu „V. M.” – 5 kl.

Z podoficerami tymi przepracowałem 4 1/2 lata i odbyłem kampanię 1939 roku i z wielkim zadowoleniem stwierdzam, że byli to ludzie o wysokim poziomie, jak w służbie podczas pokoju, tak i podczas wojny.

Wspominam o Nich rocznicę bardzo serdecznie i z wielkim szacunkiem

Był to krótki szkic ogólny stanowiący przechodzący do fragmentów wspomnień.

Nadmienić jeszcze muszę, że kawaleria K.O.P. oprócz pozytywnego wyniku w wyszkoleniu i spełnianiu służby granicznej zajęła poważną pozycję w sporcie konnym, wyrazem czego były trzy zdobyte Mistrzostwa przez ekipę kaw. K.O.P. w zawodach „Militari W.P.” w latach: 1935, 1936, 1937.

Przed budynkiem Kompanii Granicznej
K.O.P. Olkieniki - rok 1937.
od lewej:
porucznik kaw. K.O.P. Jarosław Suchorski,
pani Horat,
rotmistrz kaw. K.O.P. Stanisław Kowalewski

Pożegnanie majora Rusieckiego.

Stało się. Rotmistrz Rusiecki odchodzi.
Został mianowany majorem i dlatego przeniesiony do 23go Pułku Ułanów.

Czy Staś cieszył się z awansu?
Więcej nie – niż tak. No bo jakżeż rzucić swoje ukochane dziecko... Szwadron,.. który sam zorganizował i którym dowodził 10 lat, a... znajomi, przyjaciele, puszcza, polowania?

Z wielkim żalem rozstawał się ze Szwadronem i Olkienikami.

My wszyscy... Jego podwładni, - nie mogliśmy sobie wyobrazić szwadronu... bez rotmistrza Rusieckiego.

Całe społeczeństwo Olkienik i okolic, bez różnicy klas, rzeczywiście szczerze żałowali swego lubianego opiekuna i przyjaciela.

Rozpoczęły się uroczyste pożegnania, które trwały około 10 dni, - no bo organizowały je:
szwadron, przyjaciele, znajomi, gmina, chłopi robotnicy, organizacje i.t.d.

Byłem obecny na wszystkich pożegnaniach, no i pod koniec ... byłem wykończony.

Staś trzymał się doskonale, ale był po bliski kresu wytrzymałości.

Nadszedł dzień odjazdu.

Babcia (matka żony Stasia) odjechała z rzeczami wcześniej - teraz wyjeżdżali oboje państwo Rusieccy - pani Nata z malutkim synkiem na ręku i Staś.[x]

Przed mieszkanie państwa Rusieckich zajechała szwadronowa bryczka zaprzężona czwórką koni „w lejc" i szwadron w szyku konnym.

Na koźle bryczki, zamiast furmana... siedziałem ja - szwadronem dowodził wachm. Wiśniewski.

Nadeszła najsmutniejsza chwila ...

na ganku ukazał się Staś, ale jeszcze w czapce „kopówce" z oznakami rotmistrza.

-.-

x Pani Nata, Babcia i syn żyją. Mieszkają w Sopot.

– Szwadron!... baczność! – prezentuj broń! i wachm. Wiszniewski zameldował zbiórkę szwadronu.

Za Stasiem ukazała się pani Nata z synkiem na ręku.

Staś pozdrowił szwadron, po czym wydał rozkaz!

– Pan porucznik S. – proszę... przed szwadron!

Migiem wykonałem rozkaz.

– Tobie zdaję moje starsze dziecko... szwadron, młodsze... wskazał na synka... zabieram z sobą!... chciał mówić jeszcze... nie mógł.

Opanował się, zasalutował i ruszył w kierunku bryczki.

Jeden z podoficerów podał Mu nową czapkę... rogatywkę z pomarańczowym otokiem (barwa 23 p.uł.) i oznakami „majora".

Zdjął „kopóbkę", włożył rogatywkę i już energicznie zwrócił się do żony:

– Nata... siadaj!

W tym czasie, – ja już wskoczyłem na kozioł bryczki.

Nie zapomnę nigdy przerażonego wyrazu twarzy

pani Naty, gdy zobaczyła na koźle.... nie furmana, a... mnie, a w mgnieniu oku lejce czwórki szwadronowych koni,.... niedziesiątka bowiem, że przecież ja ... pomiętam przed godziną z ostatniego... dziesiątego pożegnania.

– Panie Stanku!... na litość boską... ja przecież mam na ręku ... małego synka!

– Nata,- siadaj... czekamy!

Biedna pani Nata... drżąca wsiadła do bryczki.

Ruszyłem... za nami szwadron.

Trudno opisać jak wiozłem swego lubianego dowódcę i przyjaciela, a... ci co widzieli... łapali się za głowy i mówili:

– jechaliście jak... huragan!

Na stacji kolejowej Olnieniki, ku przerażeniu zawiadowcy stacji... wjechałem na... peron, a za mną... cały szwadron.

Z tego momentu pamiętam tylko tyle:

– O o.. dzięki ci Boże!- był to głos pani Naty... i przeraźliwy krzyk zawiadowcy:

– Uciekać!.. uciekać!.. pociąg nadchodzi!!!

– " –

Ciotka Ossowska.

Wileńszczyzna... ciekawy skrawek ziemi i ciekawi ludzie.

W zapadłych kątach, wśród lasów, mokradeł i pól zachowały się jak w rezerwacie, postacie i typy „wytępione" już gdzie indziej przez nowe warunki życia, przez XX wiek.

Tam – spotykało się nagle przeszłość, wcieloną w starego szlagona, najbliższego krewnika Jagiełły chłopa, jakby z Soplicowa wprost się zjawił, dziewczynę o wdzięku Aldony.

Z tego ludzkiego rezerwatu zanikających już typów, szczególnie utkwiło mi w pamięci z wielu względów – (jakich, to jasno wyniknie w ciągu opowiadania) spotkanie z panią „O mal, że nie powiedziałem z „Herod-babą".

Spotkanie to, zostało mi przygotowane, mimo woli oczywiście, przez moje własne dowództwo, które nakazało zorganizowanie w pobliskich wsiach (bo były tam i litewskie) w rejonie Olkienik – Szwadron

Krakusi K.O.P.

Były to terytorialne szwadrony rezerwy kawalerii, złożone z miejscowych byłych kawalerzystów - na własnych koniach.
Szwadrony te przechodziły okresowe przeszkolenia w rejonach ich zamieszkania.

W ramach właśnie okresowego przeszkolenia w roku 1938 zorganizowałem w najodpowiedniejszym czasie, bo zaraz po żniwach, powtórne ćwiczenia szwadronu Krakusów wraz z moim własnym szwadronem.

Na zakończenie ćwiczeń przewidziałem zawody konne dla ułanów i podoficerów mego szwadronu, i udziałem kilku Krakusów na lepszych koniach.

Wybrałem na ten cel największą wieś w tym rejonie - Połukni, leżącą na szosie Wilno - Grodno.

W słoneczną niedzielę, w dzień zawodów, od rana ciągnęły do Połukni tłumy, pieszo, i zajeżdżały na placyk przed kościołem staroświeckie wasągi, wolanty, bryczki i [illegible] i wózki wiejskie, z okolicznych wsi, dworków i zaścianków.

A ja... z kolegami, wybrawszy sobie doskonały punkt obserwacyjny, robiliśmy przegląd zdążających do kościoła, no i... ze skruchą przyznaję ... parafianek.

W śród ciżby nadchodzących dostrzegliśmy nagle takie „cudności”, że duch nam zaparło... ze zdziwienia i zachwytu.

„Cudności” - było cztery.

Cztery śliczne, pełne wdzięku dziewczyny wchodziły skromnie do kościoła, co spowodowało natychmiastowe wymrożenie naszej wstawny pobożności.

Nie odnaleźliśmy ich jednak w tłumie i tylko przy wyjściu po mszy, jeszcze raz obrzuciliśmy ich ognistym spojrzeniem, połączonym z pobrzękiwaniem ostrogami, wypinaniem bohaterskich piersi i tym podobnymi ułańskimi oznakami zachwytu, na które zresztą „cudności” nasze nie zwróciły uwagi, a może udawały... że nie zwracają.

Zauważył je zato kapral Krakusów - tubylec, i pośpieszył nam na pomoc.

Znał nasze boginki... były to: córka cioteczna „O” i jej trzy koleżanki - studentki z Wilna.

Owszem, wiedział nawet, że „boginki" będą po południu na zawodach, ale... jeśli z Ciotką, to.... ?

Czy to jego ciotunia? Ależ skąd?

„Ciotką" nazywają panią „O" wszyscy w okolicy. Jest wdową, ma tylko tę jedną (ale za to jaką?) córkę i całą masę krewnych i szydantów, których hoduje w swoim dworku, rządząc żelazną ręką, - gospodaruje sama, i - to jak? - sześćnie! O wszystkim ma własne zdanie i wiele już w życiu - bez parodomu, czy kto chce słuchać, czy nie. Nic sobie z nikogo nie robi, - trzęsie całą okolicę i wszyscy jej się boją.

Jeśli przyjedzie z panienkami na zawody, to nawet westchnąć do nich z daleka nie można, bo Ciotka, ... i to zauważy.

Z całego serca życzyliśmy Ciotuni nagłej migreny i wśród przedzawodowej krzątaniny - zerkaliśmy co chwila ... na trybuny dla widzów.

- Są!.. przyszły. ... bez Ciotuni!

Pomału naprzeda - zbawca i w mig zostałem

przedstawiony.

Otwarcia zawodów już dokonałem, mogłem spokojnie siedzieć wśród „boginek" i troić, a nawet „dwoić" się, w zabawianiu uroczych gości.

Moi koledzy, z których każdy miał jakąś funkcję, zerkali na mnie wściekle i co chwila któryś znajdował jakąś niesłychanie pilną do mnie sprawę, meldował się przepisowo i ... zostawał przedstawiony moim uroczym znajomym ... od godziny.

Do końca zawodów, – panienki znały już wszystkich oficerów szwadronu (w tym czasie o dalszym [illegible] mowy)

Zacząłem nieśmiało coś bąkać o podwieczorku, ale „nasze piękności" – były nieubłagane. Wykluczone, ... mowy nie ma, ... muszą zaraz po zawodach wracać, ... bo przecież .. ciotka i.t.d.

Nasze ciche modły sprawiły jednak, że pod koniec zawodów – lunął deszcz.

„Boginki" miały na sobie swoje najlepsze sukienki, i chcąc – nie chcąc musiały schronić się do miejscowej restauracyjki, w której w jakiś przedziwny sposób znaleźli się natychmiast i koledzy.

Zostak chciał, ... aby prędko napijemy się herbaty, po czym nasze pojazdy odwiozą gości do domu - odległego o kilka kilometrów.

Pierwsze lody prędko prysnęły. Panienki okazały się miłe, inteligentne i wesołe - nie tylko śliczne.

My wszyscy wyłaziliśmy ze skóry, żeby się nie nudziły.

Mijały godziny, zabawa stawała się coraz weselsza. Nikt nie zauważył, że coraz ciemniej za oknami, i że nawet deszcz przestał padać.

Wznosiłem właśnie jakiś kolejny toast i ... urwałem w pół słowa, ... widząc, że twarze mych kolegów i panienek zmieniają się powoli ... na maski grozy.

Obejrzałem się instynktownie na drzwi.

... rany boskie ....

Wypełniała te drzwi niemal całą swoją osobą, ... stała ... jak anioł, który wygania z raju, ... wielka, potężna, z ogniem w oczach i parasolem w ręku ... Ciotka O.

W tak wesołym przed chwilą, wyczarowanym nam przez restauratora pokoiku... zapanowała grobowa cisza.

Przełknąłem ślinę, uśmiechnąłem się, jak mi później powiedziano - jak baran i chciałem coś tłumaczyć, ... wyjaśnić, że ... doszła, że to ... owo, wreszcie przedstawić się, ... gdy od drzwi zagrzmiało potężnie: ... - milczeć!

Jak posąg Komandora - ruszyła do stołu i ciskała... gromami, ... na biedne przerażone panienki.

Po chwili osłupienia przyszedłem do siebie i powtórnie usiłowałem coś mówić, co natychmiast zwróciło gromy ku mojej osobie.

- Ja ... was znam „ fatygantów"... podskakiwaczów," - .. panny do knajpa[x] zaciąga .. i to oficer ... psia krew ... i t. p.

Sytuacja stawała się coraz groźniejsza, zwłaszcza, że ciotunia ... manewrowała parasolką przed moim nosem .. nie dwuznacznie, a te .. dranie - koledzy, .. żaden ani „ mur - mur" - jak pisklęta ...

Opuściła wreszcie ... parasolkę i krzyknęła

x żargon wileński.

gromko:

– A teraz.... panny!.. marsz do domu!

a od drzwi jeszcze w moim kierunku:

– A pan, popamięta mnie – pani opisze .... do ministra napisza!

Panny zniknęły jakby je wiatr zwiał. Ciotunia zamknęła za sobą drzwi z hukiem.

Nigdy, do tej pory nie widziałem tak głupich min moich kolegów, a oni nawzajem .. mojej. W dodatku, z głównej sali zaczęli przenikać „tubylcy" – pełni zainteresowania i współczucia.: –

„ Bo... ho... ho, z Ciotką nie łatwa sprawa, a jak powiedziała, że do ministra napisze, .. taki napisze, .. taka ona, ... zawzięta!

Powziąłem bohaterską decyzję, – pojadę jutro, przeproszę, wytłumaczę, że nic, a nic złego się nie stało...

Nazajutrz, restaurator chodził koło mnie na palcach i kiwał głową, pełen zrozumienia, – kiedy przyszedłem na śniadanie przed ryzykowną wyprawą.

Traciłem coraz bardziej animusz i coraz uporczywiej kołatała się mi po głowie myśl o... kapitulacji.

Usłyszałem nagle nad uchem:

– Niech będzie pochwalony, a... zaraz potem, poufnie:

– A co? martwi się pan,... przez tą Ciotkę?

Proboszcz. Widziałem go wczoraj tylko przy ołtarzu, ale i on... już wiedział?

Był to jak się okazało – przemiły księżulo, usiadł, zaczął pocieszać i radzić... jak Ciotunię „zażyć", choć nie ukrywał, że sprawa... ciężka.

Na moim stoliku stała butelczyna „pocieszycielka" – teraz zjawiła się druga.

„Rada wojenna" z proboszczem trwała bite trzy godziny. Mój animusz wzrastał, wracała odwaga... wreszcie porwałem się jak... na ułana przystało i wrzasnąłem na luzaka:

– Siodłaj konie!

Pojechaliśmy. Galopowałem bojowo, luzak

za mną.

Im było bliżej do dworku, - tym odwaga moja wzrastała, ... raz kozie śmierć!

Dworek „Ciotki O." był śliczny, niewielki, ale pięknie utrzymany, otoczony ogrodem i oparkaniony drewnianym płotem.
Brama wjazdowa była zamknięta.
Za płotem, między krzewami prześwitywały białe ściany i kwiecisty gazon.

. Oceniłem na „oko" bramę... około 1.20 m. skok możliwy, najazd dogodny.... nacisnąłem mojego „Fanatyka"... skoczyłem... Liszak za mną.

Ani się spostrzegłem, jak oba nasze konie wgalopowały w gazon kwiatów, a nagle osadzone.... dokończyły dzieła zniszczenia.
W tej chwili podniósł się straszliwy harmider zbudzonych kundli.

Wytrzeźwiałem w jednej chwili, jakbym od roku kropli „sznapsa" nie miał w ustach.
Ze zgrozą popatrzyłem na zniszczony gazon.
– No..o..o! teraz będę miał przyjemny!
Najchętniej... skoczyłbym jeszcze raz przez

nieszczęsną bramę,... ale w odwrotnym kierunku,... teraz już jednak nie stać mi było na rejteradę.

Wszedłem na ganek. Nikogo. Okna puste. Szukam dzwonka... niema. Ostrożnie naciskam klamkę, drzwi ustępują. Znalazłem się w typowym małego dworku sieni. Chrząkam, pokasłuję... nic... cisza.

– Co u djabła? Jest tu kto?- wrzasnąłem wreszcie w desperacji.

Uchyliły się jedne z drzwi, wyjrzał z nich starszy, chudy pan, z obiecująco czerwonym nosem i przestraszony zamachał na mnie ręką:-

– Ciszej! ciszej! panie oficerze! a to... nie daj Boże... Ciotka wyjdzie i obaj oberwiemy...

– Ja wiem,.. wiem z czym pan przyjechał... to pan... wczoraj porwał nasze dziewczynki?...

Zacząłem przysięgać, że nikogo nie porywałem- rozgadaliśmy się.

Starszy pan okazał się byłym oficerem rosyjskiej kawalerii, obecnie rezydentem dworku ciotki. O"

Poszedł... ze strachem na pertraktacje, — powrócił nie prędko i z bardzo rzadką miną. Ciotka jednak zgodziła się udzielić mi audiencji, ale jest bardzo nieprzyjemna.

Ucieszyłem się i chciałem zapytać, czy widziała już swój trawnik i gazon, ale mój nowy przyjaciel otworzył przede mną drzwi i powiedział współczująco: —

— No to proszę... do salonu! i umknął.

Znów długo czekałem, układając przemowę, tym trudniejszą, że od wczoraj przewinienia moje wzrosły o ten właśnie stratowany... gazon.

Wreszcie ukazała się pani O. w całej okazałości, z poważną i surową miną.

— Czego pan sobie życzy... panie oficerze?

Stojąc „na baczność" zacząłem recytować przeprosiny, starając się jak najbardziej jasno i uprzejmie wytłumaczyć wczorajszy wypadek.

Ciotunia wyraźnie „zmiękła", a w pewnej chwili poprosiła bym usiadł.

Skorzystałem z uprzejmości, ale... ten

gazon... psia krew!

Mówiłem z coraz to większą werwą... i oto stał się cud... Ciotunia wyciągnęła do mnie rękę:-

– No... niech tam już będzie!

To... było ułaskawienie...

Zadowolniony, zacząłem się żegnać i tu... nagle stał się... drugi cud.

– Masz pan czas do domu się wybierać?- zjesz z nami obiad, panie rotmistrzu!... tylko mi... znów dziewczynek... nie porwij!

Nie wierzyłem własnym... uszom,.. a moje Ona... nie widziała jeszcze tego... gazonu?

Okazało się jednak, że Ciotunia widziała nie tylko nieszczęsny gazon, ale i mój skok przez bramę i on to właśnie był powodem jej łaskawości.

Zaimponował jej zdecydowaniem, bo przy obiedzie, który upłynął w przemiłej atmosferze- kilkakrotnie powtarzała:-

– No, no,- taka brama... przeskoczył!

Do domu odjechałem późnym wieczorem,- zyskałem sobie przemiły dom, w którym byłem

częstym i mile widzianym gościem.

Stwierdzić muszę, że może żałować każdy, kto nie znał „tamtejszych" - wołyńskich ludzi i dworków.

Nie mogę nie dodać kilku słów o owym starszym panu - rzędowniku.

Jako bratnia dusza kawaleryjska był on rozpromieniony i uszczęśliwiony, gdy dowiedział się o wyniku mej audiencji, i gdy zobaczył mnie przy stole.

Zostaliśmy przyjaciółmi.

Nie zapomnę końcowego momentu przy stole. Obiad był oczywiście z „nalewkami", śliwowicami .. doskonałe.

Do tych „mocnych" smakołyków podano bardzo małe kieliszki. Postanowiłem zagrać „va banque" po raz drugi... poprosiłem o kawałek sznurka.

Ze zdziwieniem... podano mi takowy. Jeden koniec sznurka przywiązałem do guzika munduru, a drugi... do podstawy kieliszka.

Znów ogólne zaciekawienie.

– Co to pan robi?

— Boję się, … by nie połknąć wraz z tą doskonałą nalewką…. kieliszka!

Kawał udał się, - ogólny śmiech.

Ciotuni i to się podobało. Niebawem postawiono przede mną - duży kieliszek od wina.

Trzeba było widzieć minę starszego pana - prezydenta … omal nie płakał, a jego „obiecujący" nos…. zrobił się purpurowy.

No bo i jakże? - ja dostałem „odpowiedni" kieliszek, a przed nim nadal stał… naparstek.

Oczywiście postarałem się o mego nowego przyjaciela, - dostał i on taki sam kieliszek - jak mój.

— • —

Bieg „na przełaj" za kobietą.

Ładny zakątek ziemi wileńskiej.

Ruchome 7 dniowe manewry zakończyły się około godziny 5 ej … nareszcie można będzie umyć się, zjeść i wypocząć.

Szwadrony pod dowództwem podoficerów odmaszerowują na wyznaczone kwatery, a oficerowie - na godzinę 7 ą - na omówienie ćwiczeń.

Przed nami trzydniowy odpoczynek.

W myśl planu zakwaterowania, mój szwadron

otrzymał na zakwaterowanie wieś X.

Patrzę na mapę: - wieś duża i dwór, położone od miejsca omówienia ćwiczeń o jakieś 12 kilometrów.

Wołam wachmistrza Wiszniewskiego: -

- Słuchaj! - oficerowie zostają na omówieniu, a ty prowadź szwadron do wsi X, tam mamy kwaterować, - przygotuj dla nas dobre kwatery, jeżeli się da .. i dla nas, we dworze - zrozumiano?

- Tak jest! wszystko załatwię dobrze!

- My, pewno przyjedziemy gdzieś na 15ą. konie oficerskie niech idą ze szwadronem, - my przyjedziemy moim „Opelkiem"

Omówienie ćwiczeń trwało do 12ej. Nareszcie... koniec, trzeba coś zjeść. Jedziemy do pobliskiego miasteczka - zjedliśmy jaki-taki obiad i na kwatery.

Podjeżdżamy do naszej wsi, kierujemy się na dwór. Przed bramą czeka na nas ten doskonały podoficer wachmistrz Wiszniewski, wyciągnął się jak „struna" i z fasonem zameldował:

- Panie rotmistrzu! melduję posłusznie: -

szwadron zakwaterowany dobrze - na wsi, a kwatery dla panów oficerów - w dworze!

- Dziękuję, - ułani i konie już nakarmieni?

- Tak jest!

- No,.. a jak tam dwór?

- Pokoje dobre panie rotmistrzu, ale....?

- Co.. ale?

Wiszniewski zrobił jakąś dziwną minę:-

- Tu... we dworze... bieda!

Ze zdziwieniem popatrzyłem na Wiszniewskiego, a później na dwór.

Z pozycji bramy wjazdowej dwór prezentował się okazale, - to już nie dwór, a - rezydencja.

- Do kogo należy ta... buda?

- To posiadłość hrabiego K., ale dwór podupada, - hrabia siedzi gdzieś zagranicą, a gospodaruje hrabina, i Wiszniewski „szelmosko" się uśmiechnął.

- Mówiłeś,.. „ że tu bieda?

- Tak,- majątek składa się z kilku folwarków, ale prawie w ruinie!

- Mieszkania dla nas dobre - mówiłeś,! worta

nas nie obchodzi... chodzimy.

Wchodzimy do parku - przed pałacem ślady pięknego ongiś gazonu... teraz w stanie zupełnego zaniedbania. Tam gdzie kiedyś rosły piękne kwiaty,... grzebie się kilka kur.

Budynek dworu,... kiedyś okazały, teraz opuszczony i zaniedbany.

Na obszernym, stylowym ganku ukazała się jakaś pani.

– To... pani hrabina,! - szepnął Wiśniewski.

– Nie z naszej winy,.... urządziliśmy „najazd" na dwór,... proszę pani.

– Taki najazd... można znieść! - proszę!

– Przedstawiam się! - zasalutowałem wymieniając stopień i nazwisko,

– a to moi koledzy, - opiewowi swojemu!

– Bardzo mi miło! - będą panowie mieli wygodny wypoczynek - w tym domu jest dużo... wolnych pokoi.

Miła i... piękna pani hrabina, bardzo skromnie ubrana, sama wprowadziła nas do domu i pokazała przeznaczone dla

nas pokoje.

Przechodząc przez wiele pokoi, rzucał się w oczy „rozgardiasz", żeby nie powiedzieć „bałagan". Służby.. ani śladu. Wyglądało tu tak, jakby dom był w trakcie pakowania przed wyjazdem.

Każdy z nas otrzymał ładny pokój, jako tako umeblowany,.. w każdym razie było na czym spać i to wygodnie, no i umyć się.

Pani hrabina zrobiła na nas dwoje wrażenie. Młoda, w wieku około 30 lat, wspaniale zbudowana, o pięknej twarzy.. blondynka.[x]

Pomimo ubrania, - była w jakiejś bardzo skromnej sukience i byle pantoflach na bosych... jak toczonych nóżkach,... całość stanowiła - klasę.

Oko nam zbielało na widok hrabiny. - mnie szczególnie, bo.... była blondynką!

Różne szelmowskie myśli „łaziły" do głowy,... cóż poradzić... to „kalectwo" i... nic ma na to rady.

- Włodek! dawaj wody i przygotuj drugi mundur!

Po pół godzinie byłem już przebrany, ogolony i odświeżony i zamiast położyć się spać po 7iu dniach i nocach,... wyszedłem na ganek.

Jakaś tajemna siła kieruje ludźmi...
na ganku siedziała... hrabina.
Na dworze - przelotny deszczyk.
- Aaa! to pan? - dokąd to „siarczysty" ułan wybrał! i tak popatrzyła na mnie...
Coś... we mnie... „zagrało."
- Chcę pójść na wieś, - zobaczyć jak zakwaterował się szwadron, - proszę pani! - skłamałem jak z nót.
- Ja,... wybieram się na pole, zobaczyć jak tam koszą owies, a tu... pada!
Wstała - popatrzyła na niebo.
- Rozjaśnia się, prędko przestanie, a... tym czasem siadajmy... pogadamy.
- Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani!
- Pan jakoś tak... przepraszam pana, trochę „dziwnie" mówi po polsku,... tak jakoś pan „zaciąga", - pan pewno, albo „tutejszy" - wileński, albo z innych naszych kresów wschodnich?
- Czy tak bardzo razi... proszę pani?
- Ależ nie! - odwrotnie! - ja bardzo lubię,

to jakoś tak... egzotycznie brzmi...

– W takim razie przez trzy dni... jeżeli pan zechce... będzie pani mogła... słuchać tej „egzotycznej" mowy.

– A więc pan... wilnianin?

– Nie proszę pani, – ja pochodzę, aż z Kubania!

– Aż,... z Kubania? Ale... pan... Polak?

Zaśmiałem się.

– Obywatel polski, ale pochodzenie... kozackie – Kubański Kozak – proszę pani.

Zrobiła na mnie „oczy" - duże, piękne, ciemno-niebieskie oczy...

– Pierwszy raz widzę... „oryginalnego kozaka"

– Jeżeli pani taka uprzejma, – to proszę dodać... „Kubańskiego"

– Czy to jakaś różnica?

– Tak proszę pani! Wiele rodów Kubańskich Kozaków wywodzi się z rodów polskich.. – tak jak i mój.

Opowiedziałem hrabinie pokrótce historię mego przybycia do Polski.

- Jakie to ciekawe? - pan mi opowie szczegółowo!

W międzyczasie przestał padać deszcz i jeden po drugim zaczęli „wyłazić" spod kołdry.

Poszłem ich na kontrolę rozkwaterowania szwadronu, .. ale wybawiła mnie od wydania tego drakońskiego rozkazu - sama hrabina.: -

- Pan, - obiecał odprowadzić mnie na pole?

O.o.o, - to sprytna kobieta pomyślałem, bo... o tym nie było mowy, ale odpowiedziałem: -

- I prawdziwą przyjemnością proszę pani! - już możemy iść.

Ze złośliwym i „jadowitym" uśmiechem popatrzyłem na moich kolegów - po kryjomu - odchodząc... pokazałem im... figę.

Patrzył na mnie wzrokiem, który mówił:
– idź, idź... złam kark!

Hrabina prowadziła mnie „na przełaj" przez park, przez jakieś zarośla, przez łączki, a ja... w „sztybletach" i długich wyjściowych spodniach z zaprasowanymi kantami, a to... przecież... po deszczu i to dobrym.

Zdjęła pantofle i smaruje boso, a ja czuję, że moje „sztyblety" już przemokły,... zamiast lasku – jedno błoto.

Podchodzimy do jakiegoś strumyka, który teraz rozlał się szeroko za brzegi,... co ja teraz zrobię?

– Ale ten strumyk rozlał się, – zawsze taki wąziutki, a teraz? i pytająco popatrzyła na mnie, swoimi cudnymi oczami.

Sam nie wiedziałem co robić?
– Może... ja panią... ...
– Ale gdzież tam!

Nie zastanawiając się długo, pani hrabina uniosła dość... wysoko sukienkę i... „smaruje"

– Ot cholerna baba! – pomyślałem, ale co ja zrobię? – spodni tak nie podniosę?
– No i co Kozacze? – stojąc po drugiej stronie strumyka... naigrywała się ze mnie.
– Konika... brakuje?
Chciałem zawrócić i odejść, ale... blondynka,... oczy takie cudne... a gdy uniosła sukienkę.....
Runąłem przez ten parszywy strumień...
– O.o.o! – to po kozacku i po ułańsku! – roześmiała się.
Wpadłem do wody po pas,... gdyby teraz zobaczyli mnie... moi koledzy?!
Na polu „owsianym" koniary już nie zastaliśmy – krabina łachowym okiem obejrzała pole.
– Tu jeszcze będzie prawie na dzień roboty, a... my, – możemy wracać!
– Czy znów tą samą drogą?
– Możemy iść inną, ale to dalej!
Ominęliśmy ten obrzydliwy strumyk, ale.. to mi już nie pomogło,.. byłem

mokry do pasa,.. kantów na spodniach-ani śladu, a „sztyblety"- jak „Tapcie."

Rozpogodziło się, zachodzące słońce przyjemnie muskało po twarzy i osuszało moje zmoknięte,... teraz już... Taszki.

Weszliśmy do parku,.. byle tych „druhów" moich kolegów... nie spotkać...

– Siadajmy,! ot tu... na tej ławce!

Siadamy. Chciałem coś mówić, ale hrabina rozpoczęła pierwsza:

– Pan?... taki?... jakiś inny,!- popatrzyła na mnie tak „ciepło"- serdecznie,- swoimi ślicznymi oczami

– Inny?- zrobiłem zdziwioną minę.

Uśmiechnęła się.

– Czy wygląd tego... „magnackiego domu" nie dziwi pana?

– Rzeczywiście,- proszę pani,!- jest... trochę... opuszczony.

– Widzi pan,!.. to są resztki magnackiej fortuny hrabiów K... Zamyśliła się.

– Mój mąż i jego ojciec,.. siedzą sobie...

w Nicei... i co tydzień depesza... „przysyłaj pieniądze".

– Administrator odszedł, zostałam sama z drugim dzieckiem i z moim starym ojcem, na tym „zrujnowanym koniu"...

– Robię co mogę, – by utrzymać to „stare gniazdo hrabiów K... ale... już nie mam ani siły, ani pomysłów.

W jej ślicznych oczach zarysował się głęboki smutek....

– Służba... nie opłacona, dlatego kradną, podatki zalegają od kilku lat, budynki walą się...

Prawie do zmroku opowiadała mi o dworze, o „panu mężu",... o sobie.

Zapomniałem, że jestem mokry, że koledzy, – patrzyłem na tę „śliczną istotę" i mogłem słuchać Jej... bardzo długo.

– Ale!... przecież trzeba przygotować kolację!... a u mnie... nie ma nic, by jako tako przyjąć czterech miłych gości.

Wyraźnie,... jeszcze bardziej się zasmuciła, i teraz nawet... w mokrej sukience

bosa, z zatroskaną minką,... była... cudna.
Widziałem w Niej, – piękną kobietę i... człowieka.

– Proszę pani, czy moje, zechce pani uważać mnie za.... przyjaciela?... takiego,.. prawdziwego?

Podniosła na mnie... te swoje cudne, a teraz takie smutne oczy....

– Tak!... wyszeptała.

– Co miałem odpowiedzieć...?- powiedziałem:-

– Dziękuję!... po chwili opanowałem się.

– W takim razie będziemy stawiać sprawy... po przyjacielsku:-

– Pierwsza sprawa - to kolacja! Są dwa rozwiązania: pierwsze – moje pani nas nie zapraszać, my podczas manewrów jadamy z kuchni polowej, i wcale nie narzekamy, a drugie:- mamy samochód,... możemy pojechać na kolację do miasteczka..

– A ja się tak ucieszyłam z waszego przyjazdu – to coś nowego... w tej głuszy wiejskiej,... nowi inteligentni ludzie... no i co o mnie pomyśla panscy koledzy.... w zaścianku dworze... przyjmuję

Miała racje.
- Zawarliśmy przyjaźń... niech pani pozwoli, że ja tę sprawę... załatwię!
- W jaki sposób?
I znów te cudne oczy....
- W bardzo prosty! Pojadę samochodem do miasteczka i... kupię wszystko co pani potrzebuje do przygotowania kolacji.
Milczała przez chwilę.
- Zgadzę się... ale pod warunkiem, że pan szczerze powie ile to kosztowało, a ja... panu jak będę mogła... zwrócę.
- Zgadza się... proszę pani!... a teraz kartkę ze spisem.... przebiorę się i jadę.
Pogładziła mnie... po ręku.
Byłem zadowolniony.... nieba bym uchylił dla tych... cudnych oczu.
Ale,- jak teraz wejść do domu, by w tym „mokrym stanie" nie zobaczyli mnie moi „subalterni". Udało się. Nie było ich ani na ganku, ani w swoich pokojach,- są w swoich warsztatach pracują....

Szybko przebrałem się.

– Władek! podaj maszynę, a tu... widzisz... wpadłem do wody;... wysusz to, ja prędko wrócę. Aha! – powiedz Panom, że pani hrabina zaprosiła nas na kolację,... niech czasem gdzie nie zginą.

Otrzymałem spis różnych artykułów... zdaje się pierwszy raz w życiu wypełniałem podobne zlecenie... czego się nie robi dla... takich oczu!

Zlecenie załatwiłem tak sprytnie, że żaden z moich „drabów" niczego się nie domyślił.

– Dokąd jeździłeś Sławek?

– Miałem sprawę... w sztabie pułku. Szykujcie się do kolacji – jesteśmy zaproszeni.

– To chyba musimy się przebrać?

Psia krew!... przebrać! pomyślałem, ja już się przebierałem i... wszystko mokre...

– Nie! – uprzedziłem panią hrabinę, że... przyjdziemy w butach,... to przecież... manewry!

Gdyby te „dranie" wiedzieli moje mokre „cudy"

Kolacja, – podana bardzo elegancko, wy-

padała doskonale, - tajemnicę kolacji znało tylko... dwie osoby.

Dałbym „konia z rzędem" temu, kto by mnie ukarał i zostawił na „pokutę" w tym „podupadającym dworze"... przynajmniej .... na rok, ... skakał bym nawet i ten... parszywy strumyk... po dwa razy dziennie.

— „ —

Na kłusowniczych ścieżkach.

Ciotka „O" nie napisała do ministra skargi na mnie jako „porywacza panien" - z „białego dworku", - ominęły mnie z tej racji przykrości służbowe.

Nie uniknąłem ich jednak z powodu moich innych „kontaktów towarzyskich" w owych latach służby w K.O.P. - kontaktów, trzeba szczerze przyznać - mało typowych dla oficera i to.. kawalerii.

Do jednego z nich doszło na tle pasji myśliwskiej, nie mojej własnej zresztą, ale moich kolegów.

Ja sam nigdy nie miałem żadnego pociągu do „mordowania zwierzyny," a polowanie, nie mogę uznać, jak tego chcą inni - jako rodzaj sportu.

Nie lubiłem i nie lubię zabijać zwierzaków, wolę je podpatrywać i śledzić - bez krzywdy dla nich. Ale koledzy moi i znajomi z zapałem korzystali z wielkich możliwości łowieckich tej pięknej części wileńszczyzny, jaką jest Puszcza Rudnicka, a przy spotkaniach nie było końca opowiadaniom o ich wyczynach - prawdziwych i zmyślonych, - no, a przysłowiowa myśliwska skłonność do „przesady" jest ogólnie znaną.

Wszyscy jednak przyznawali zgodnie, że wszystkie ich sukcesy myśliwskie - są dziecinną zabawką w porównaniu z myśliwską sławą - Wackusa.

Osławiony Wackus, - to gospodarz z Olkienik, ale zarazem wysokiej klasy kłusownik, przed którym puszcza nie ma tajemnic.

O jego zręczności, chytrości, odwadze i oku-

opowiadano legendy.

Znałem tego milkliwego, zwalistego, niskiego chłopa o bystrym, nieufnym spojrzeniu małych oczek z pod opadającej na brwi, skudlonej grzywy.

Nasłuchawszy się co niemiara o jego kłusowniczej sławie, próbowałem dowiedzieć się czegoś od niego samego.

Zagadywałem chytrze, częstowałem papierosami przy spotkaniu, starałem się być jaknajbardziej przyjacielski, ale gdzie tam? Wzruszał ramionami i wysoko podnosił krzaczaste brwi w oburzeniu na... ludzką złośliwość.

– Boże Ty – Boże, czego to ludzie nie wymyślą! On.. i kłusownik? Nawet do lasu nie chodzi, – chyba jedzie z koniem.. po drzewo.

Z dubeltówką, kiedyś umiał się obchodzić, jak to młody człowiek, .. ale teraz, to już chyba zapomniał... załadować mi potrafi.

Nie mogłem przechytrzyć starego wygi.

Puszcza Rudnicka przygotowała jednak dla mnie niespodziankę, która była początek-

kiem wspaniałych leśnych przygód.

W upalne letnie dni wykorzystywałem na swe sportowe treningi koni chłód wczesnego poranka, lub późnego wieczora.

I otóż takiego świeżego, wilgotnego od rosy i pachnącego jak kadzielnica poranka - wracałem z treningu do koszar leśnymi, mało uczęszczanymi kniejami i ścieżkami. Koń szedł stępa na długiej wodzy, mech tłumił kroki, a Siapi× kurował w domu skaleczoną łapkę - przesuwałem się śród drzew bezszelestnie.

Nagle czujne końskie uszy zasygnal.izowały czyjąś bliską obecność.

- Jakiś zwierz pod krzakiem? pomyślałem.

Nie - człowiek.

Bryłowata postać, skulona we śnie wtapiała się w tło puszczy - jakby do niej przynależna.

Przypatruję się pilniej... i stwierdzam,... że to... Wackus.

Spał z czapką nasuniętą na oczy, oparta o sosnę stała... dubeltówka.

Nie darmo jednak miał instynkt leśnego stworzenia - przez sen wyczuł niebezpieczeństwo - podrywał się. Był jednak tak nagle wyrwany z mocnego

× Siapi - mój „wielki przyjaciel" - waleczny foksterier.

64 ~~708~~

snu, że siedział jak ogłupiały, patrzył na mnie tępo i nic zrywał się do ucieczki lub walki, - w jego oczach zaczęły migotać ogniki zrozumienia sytuacji.

Na wszelki wypadek odpiąłem kaburę pistoletu i położyłem na nim rękę.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu długą chwilę, - wreszcie Wackus potrząsnął głową i uśmiechnął się drwiąco:-

– Teraz macie mnie - panie! - powiedział głucho.

– Tak, - teraz was mam, - panie Wackus! - powiedziałem wesoło i zeskoczyłem z konia. Ostentacyjnie zapiąłem kaburę pistoletu i poszedłem do niego z wyciągniętą przyjacielską dłonią.

Nie bardzo wiedział co ma robić... wahał się chwilę, nim podał mi swoją niedźwiedzią łapę. Usiadłem przy nim i poczęstowałem papierosem, - przyjął nieufnie, - jak wilk rzucającego sporo kłóda doceła.

Wiedziałem doskonale, że dla jego siły i zręczności byłoby igraszką zadusić mnie jak szczeniaka.

Dowiedziałem się od niego później, że i on myślał o tym samym, a jeśli natychmiast nie wziął się do „dzieła", to tylko dlatego, że był pewien, że trafił w obławę i że ze mną są ukryci inni.

Z takimi „przyjacielskimi" myślami podczas, zaczęliśmy ostrożną pogawędkę.

Właściwie mówiłem przede wszystkim ja. Uspakajałem go, że nie mam wrogich zamiarów, że jestem zupełnie sam, że znalazłem się tu przypadkowo, że jeśli mnie obchodzą jego kłusownicze wyprawy, to tylko dlatego, że interesuje mnie niesłychanie, jak dalece można poznać las i jego życie, że chciałbym się od niego wiele nauczyć.

Odmrukiwał coś „ni w pięć, - ni w dziewięć", i jasne było, że tego zrozumieć nie może i mnie nie... wierzy.

Trudno, co prawda było łatwo uwierzyć, że oficer K.O.P.'u i to na samym pograniczu - chce się uczyć... kłusownictwa?

Jego nie rozumieli i „inni" - nie tylko on. Dałem wreszcie za wygraną, zapewniłem go, że o naszym spotkaniu nikt się nie dowie, że może spokojnie wracać do domu, nie martwić i odjechałem.

W ciągu następnych tygodni spotykałem go we właściwej roli, t.j. w roli solidnego gospodarza, którego źli ludzie krzywdzą podejrzeniami

Kłaniał mi się w uniżeniu, łypał oczami i zapewne spluwał, gdy mu znikałam z oczu. Cały czas czekał, że nie dziś, to jutro przyjdzie do niego policja, zawiadomiona przeze mnie o leśnym spotkaniu.

Gdy nic podobnego nie stało się, nabrał wreszcie odwagi. Nabrał przekonania, że jest bezpieczny, że ja ... nie złamałam danej mi w lesie - obietnicy.

Zapukał kiedyś wieczorem do mego domu. Zaproszony do mego gabinetu usiadł godnie, zapalił papierosa i z poważną miną wystawił mi - oto takie świadectwo:-

- Wy... dobry człowiek, panie! - teraz już wam wierzę.

Tak zaczęła się moja przyjaźń z kłusownikiem z Puszczy Rudnickiej.
Przyjaźń, której tłem były najdziksze knieje puszczańskie, zdradliwe ścieżynki wśród topieli - tropy dzików i jeleni.

Wacław utajemniczał mnie we wszystkie tajniki swej rozległej wiedzy o lesie i leśnych mieszkańcach. Przemierzałam z nim całe kilometry głuszy leśnej, tropiłam zwierzynę, pod-

patrywałem życie czworonożnych, czy skrzydlatych „tubylców".

Ja,... oczywiście chodziłem bez dubeltówki. Przy leśnych ogniskach słuchałem niekończących się opowiadań o lesie i... kłusownictwie.

Wackus, z początku przy mnie nie strzelał, potem i mało się odważył, ale kiedy spostrzegł, że ze mnie żaden myśliwy naprawdę, że mi żal zabitego zwierzaka, a strzał uważam za pogwałcenie praw leśnych, ... z niespodziewaną u tego zgrubsza tylko ociosanego kloca delikatnością podzielił swe leśne wyprawy, na te myśliwskie - samotne, i te... „podglądające" - ze mną.

Z dubeltówką nie rozstawał się, ale przy mnie - już nie strzelał.

Nieraz, gdy z zapartym tchem, podprowadzony bez szmeru - obserwowałem pełne wdzięku ruchy jelenia... podnosił broń do oka, celował, - opuszczał i mrugał do mnie z chytrym uśmiechem:

- Widzieli panie... i ten by nie uszedł... gdyby nie... wy!

Jeśli i dziś tak mile wspominam okres służby w kawalerii K.O.P., jako lata bodaj najlepsze w życiu - to przyczynił się do tego i Wackus,... mój

przyjaciel, prosty chłop wileński, i... wysokiej klasy kłusownik, - jeśli nie król, to „królik" Puszczy Rudnickiej.

—"—

Na przemytniczym szlaku.

Warto było za przyjaźń z Wackusem, zapłacić pewnymi nieporozumieniami z moim wyższym „naczalstwem" - z dowódcą Brygady K.O.P. Grodno pułkownikiem Biesthum, któremu rzecz prosta, dziwna wydawała się moja zażyłość z kłusownikiem.

Tak samo nie żałuję różnych przykrości ze strony II Oddziału Sztabu, w jakie wplątałem się dzięki nowej chęci poznania, dzięki memu drugiemu przyjacielowi, który był ni mniej, ni więcej - tylko... przemytnik i to na dużą skalę... ba! - sam „król granicy" na naszym odcinku.

W tym wypadku - zrządził przypadek. Prawdopodobnie „dwójka" i sztab K.O.P. mieli rację, dziwiąc się „takim" moim kontaktom, ale ja nie miałem żadnych wyrzutów sumienia.

Te moje „leśno-przemytnicze" przyjaźnie nie przyniosły szkody służbie, a mnie dostarczały niezapomnianych przeżyć - mało

Przed stajnią plutonu C.K.M.
Szwadronu kaw. K.O.P. Olkieniki
rok 1938.

p.o dca Szwadronu porucznik kaw. K.O.P.
Jarosław Śmiłowski

Na smyczy - oswojony oryginalny wilk
w wieku 2u lat - „Czaruś" - tubylec Puszczy
Rudnickiej.

koniu znanych.

Przykrości służbowe nie były groźne, dowodem czego jest fakt odznaczenia mnie. Srebrnym krzyżem Zasługi" za wybitne wszechstronne wyszkolenie szwadronu.

~~Pierwsze spotkanie z moim no~~

Pierwsze spotkanie z moim nowym niezwykłym przyjacielem odbyło się w mało dla niego przyjemnych okolicznościach.

Przeglądałem poranną korespondencję w swoim gabinecie w kancelarii szwadronu. W pewnym momencie wszedł szef kancelarii wachm. Wojdanowicz i zameldował, że tajny funkcjonariusz pogra-

nicza, jakiś sierżant Sicy Y prosi o zezwolenie zameldowania się.

Nie lubiłem nigdy tych konfidentów i policji i na szczęście nie miałem z nimi nic wspólnego. Ten widocznie miał jakąś ważną i pilną sprawę, skoro zwracał się do mnie.

- Niech go pan daje tu - panie szefie, byle długo... nie zawracał głowy!

W drzwiach stanął wysoki, barczysty drab po „cywilnemu", ale zameldował się przepisowo i przedstawił legitymację.

Okazało się, że ekipa jego przyłapała dziś w nocy na pograniczu - przemytników. Jednego z nich ujęto, za resztą trwa pościg. Ten - przychwycony jest teraz tutaj i musiałby natychmiast przesłuchany, to... sam „wódz" przemytników naszego pogranicza (odcinka).

Komendant prosił zatem o umożliwienie przesłuchania go tu w strażnicy, a później o zatrzymanie pod strażą do czasu przybycia policji, którą on zawiadomi.

Życzenie konfidenta słuszne - oddałem do jego dyspozycji świetlicę szwadronu i ... zdawało się, że na tym koniec z konfidentem i przemytnikami, ... okazało się, że nie.

Po skończeniu pracy w gabinecie wyszedłem, by udać się na przegląd ćwiczeń szwadronu.

Przechodziłem koło świetlicy, - przypomniał mi się konfident i „towar przemytników" - trzeba zobaczyć!

Zajrzałem do świetlicy... zdębiałem. Pod przeciwległą ścianą... klęczał jakiś człowiek, którego „drab" trzymał za włosy i... tłukł jego głowę... o ścianę.

— Prz-słu-cha-nie, - psia mać!!!

Doskoczyłem do „draba" i z miejsca ...tak palnąłem go ... w ucho, że rozciągnął się jak długi.

Poniosła mnie wściekłość... i nie wiem co by było dalej, gdyby nie wszedł ułan-goniec, zwabiony hałasem.

Kazałem wezwać podoficera służbowego szwadronu, i zamiast „konia" przyniesiono „draba".

Zostałem sam z przesłuchiwanym, - tkwił wciąż w tej samej pozycji - na kolanach pod ścianą. Zwichrzone włosy opadały mu na świecące od potu czoło, a z pod nich zerkały na mnie oczy - uważne i czujne. (czujne).

– Wstańcie! Czemu nie wstajecie?, - odezwałem się jak mogłem najłagodniej.

– Nie mogę panoczku!... ja... kaleka.. bez nóg!

Coś mną zatrzęsło. Spojrzałem uważniej. „Wódz" był to chłop potężnie zbudowany, o szerokich barach, znamionujących ogromną siłę, ale.... coś okropnego - zamiast nóg... miał już od samych bioder... jakieś straszliwe pokręcone piszczele.

Uff! Otarłem pot z czoła... obejrzałem się bezradnie na krzesło.

– Czy może pan usiąść?

Mógł. Podczołgał się szybko i zręcznie umości

kadłub na krzesło... teraz stał się bardziej „ludzki" - normalny.
Poczęstowałam go papierosem. Zaciągnął się chciwie i poprosił o wodę, - pił niesłychanie długo i chciwie.
Gdy skończył, odstawił kubek, popatrzył na mnie bardzo uważnie i przenikliwie i nagle ... nim zdołałam przeszkodzić... pocałował mnie w rękę.
– Wy... dobry człowiek panoczku! powiedział z takim jakimś serdecznym, szczerym akordem.

Za całą odpowiedź zapaliłam papirosa... no bo cóż u licha można powiedzieć, ... gdy mówią ci w oczy – że jesteś dobry.

W każdym bądź razie wiedziałam, że już mam nowego przyjaciela, a że nie „byle kogo", o tym przekonałam się też prędko.

Rozgadaliśmy się na dobre, a czego nie dowiedziałam się tego dnia – na własne oczy oglądałam później.

Przemytnik miał na imię Kazimierz - po wileńsku - „Kaziuk", miał gospodarstwo rolne w wsi Pomercz - w odległości 12 km. od Olkienik.

„Kaziuk" - było to groźne imię na naszym odcinku granicy litewskiej. Miano „wodza" jakim go uczcił „drab" - wcale nie było przesadzone.

Miał pod swoimi rozkazami wiele grup przemytników i melin, trząsł i nadawał „przemytniczy ton" całemu odcinkowi ok. 45 km. pogranicza.

Oprócz prowadzenia wcale nie złego gospodarstwa rolnego, zajmował się zawodowo przemytem i to od dnia powstania granicy polsko-litewskiej, do owego czasu. Były oczywiście przerwy na odsiadywanie kar, gdyż wpadał kilka razy. Wychodził z więzienia - i znów wracał na stare szlaki.

Jako dość zamożny gospodarz nie potrzebował zarobku z przemytu - ale granicy rzucić nie mógł. Stała się jego nałogiem, sensem życia - który też i przysporzył mu pokaźnej fortuny.

Kodeks karny i prawa graniczne znał lepiej od niejednego adwokata.

Podobał mi się ten „Kaziuk", a on patrzył na

mnie - jak „wierny pies".

Poczęstowałem go ułańskim obiadem i odesłałem szwadronową bryczką do domu.

Z „drabem" załatwiłem krótko, - albo stawiamy sprawę na drogę służbową, albo rozstajemy się, jakby nigdy nic.

Wiedział on, że na drodze służbowej napewno przegra.

– Wybieram panie rotmistrzu propozycję drugą, ale proszę... by nikt nie dowiedział się, ... że dostałem „w papę".

– Dobrze, - możesz odejść, a Kazimka ... nazarie ... nie ruszać!

– Rozkaz, - stuknął w obcasy i poszedł.

Wiedział gałgan, że jeśli sprawa wyjdzie na drogę służbową - on poniesie gorsze konsekwencje za znęcanie się nad przetrzymanym - niż ja, za niestosowne zaangażowanie, dlatego skwapliwie skorzystał z mojej propozycji.

Kazimek, - na odjezdnym zapewniał mnie uroczyście, że może chodzić sobie po pograniczu sam, bez broni, bezpiecznie

jak dziecko we własnym pokoju - nikt mnie nie ruszy.

Teraz ja - jestem pod jego - Kazinka opieką.
I obowiązał mnie też, że w najbliższym czasie odwiedzę go w jego domu, ale zanim do tego doszło przypomniał mnie o sobie w bardzo szczególny sposób.

W kilka dni po naszym spotkaniu siedziałem na ganku swego domu, oczekując na przyjazd kilku osób zaproszonych na niedzielny podwieczorek.

Zamiast znajomej bryczki - zajechał nagle pod dom chłopski wiklinowy wózek, zaprzężony w doskonale utrzymanego konia.
Z wózka wysiedli trzej nieznani mi chłopi.

Okazało się, że do mnie. Zaprosiłem ich do pokoju, nie usiedli póki nie pokłonili się mi wszyscy, a jednocześnie jeden z nich oświadczył:-

- My... przyjechali podziękować wam panoczku za... Kazinka!

Drugi, - postawił na stół potężnych rozmiarów kosz, nakryty czystą chustką, a z pod niej zaczęły ukazywać się kolejno najprzedniejsze spe-

cjały w któskiej wsi, a jako ukoronowanie — potężna flaszka... nalewki.

Byłem tym zaskoczony.

— Ależ,... co wy robicie najlepszego? Przecież... ja też jestem gospodarzem i ja was powinienem przyjąć!

— Nie... panoczku, to my was zawsze teraz będziemy... wszystkim co mamy... częstować... za Kazinka!

Cóż było robić? Wypiliśmy „za Kazinka" tą... przyjacielską gorzałkę, a później naturalnie i ja sięgnąłem do swoich zapasów. Zanim jednak je napoczęliśmy, czekała na mnie jeszcze jedna niespodzianka. Moi goście wstali i uroczyście wręczyli mi podarunek od Kazinka.

Była to elegancka, gustowna, srebrna papierośnica, ozdobiona monogramem, dwiema ze złota inicjałami i napisem wewnątrz.

„ Mojemu Panu - Kazinek" - data.

Najbardziej jednak było charakterystyczne to, że Kazinek, ten niepoprawny przemytnik, kupił ją w... Kownie, - gdzie

zdążył już być, - naturalnie jak zawsze z... przemytem,.. był bowiem na papierośnicy znak firmowy - kowieńskiego jubilera

W międzyczasie przyjechali goście - przemytnicy zostali z nami do późnej nocy.

Ciekawy obrazek! - salonik oficera K.O.P, w nim gospodarz - rotmistrz kawalerii K.O.P. i goście: nadleśniczy, dwóch leśniczych z żonami, lekarz do medycyny i... trzech chłopów - przemytników.

Moi mili goście - ci właściwi, - wszyscy tym byli... zachwyceni, od tej pory mówili: „coś podobnego... to tylko u Jarmy!"

Odjechali wszyscy zadowoleni, a ja stałem się „znawcą granicy", ale nie z tytułu mej służby.

Szwadrony kawalerii K.O.P. rzadko pełniły właściwą służbę graniczną - robiła to piechota K.O.P. dlatego tajniki i zjawiska graniczne znaliśmy „po łebkach", za to teraz... poznałem życie granicy dokładnie i z bliska, tylko że... od strony... przemytników.

Pasjonowało mnie ich życie, ale nie jako

ich tropiciela, a amatora-obserwatora, byłem ciekaw wszystkiego, a Kaziuk bez obawy pokazywał mnie całe swoje ukryte królestwo.

Poznałem taktykę, organizację i drogi przemytnicze - ludzi tego „fachu" i ich mentalność.

Przekonałem się, że granica... naprawdę „wciąga" i może stać się nałogiem.

Wchodziłem bez obawy do wsi melin, oglądałem przemycane towary - byłem w „tym świecie" uważany za „swego", ale oczywiście - nie wspólnika

- Nie,-nie,- to „nasz panok" uspokajali mi przyjaciele kogoś, kto jeszcze mnie nie znał i podrywał się czujnie na widok obcego i to... oficera K.O.P'u.

Przez cały czas podziwiałem simnie takt i delikatność moich nowych przyjaciół, bo nigdy nikt słówkiem nie zatrącił o temat „służbowy," nikt nigdy o nic nie prosił.

Rozumieli, że mogę być ich „przyjacielem"

ale nie wspólnikiem lub protektorem, i ten właśnie moment cenili i dziwiłem się skąd w prostej duszy chłopa poleskiego – tyle subtelności.

Wiedzieli, że ich nie zdradzę, że dla własnej ciekawości interesuję się ich „pracą”, rozumieli, że występuje tu nie oficer K.O.P., a tylko człowiek, który zaufania ich – nie wykorzysta.

Przyznać się muszę ze skruchą, że raz... ostrzegłem ich...

Stało się to niespodziewanie dla mnie. Wracałem konno z ułanem z dalszej kolacji od mego przyjaciela leśniczego Włodka T.

Jechałem puszczą stępa, rozkoszując się letnią rosą pobliskiego boru, aż tu... konie postawiły uszka, a „Siapi” podniósł harmider na całą puszczę, rzucając się jak lew w gęste podszycie lasu.

Rozróżniłem szczekanie psa, – byłem pewien, że „Siapi” atakuje ludzi.

Ktoś chowa się, unika spotkania – trzeba sprawdzić...

Błyskawicznie wyjąłem pistolet – poije-

chałem do krzaków i zagrzmiałem:-

– Kto tam jest? – wychodzić... bo strzelam!!!

Poznali mnie. I podszycia odezwał się głos:-

– To... my paniczku! ludzie Kazinka!

– Ahaa, no to wyłazić! – schowałem pistolet do kobury.

Było ich ośmiu – szli z przemytem, a jako „separacy" mieli z sobą trzy 10-12 letnie dziewczynki. Wyszli z ukrycia – rozmawiamy. Okazuje się, że idą na „tamtą stronę" na kierunek „lisiego rojstu".[x]

Wpadną... pomyślałem, gdyż właśnie „lisi rojst" jest dziś mocno obsadzony przez zasadzki kompanii granicznej.

Rozlokowanie zasadzek granicznych znałem, gdyż plan takowych przysyłał do szwadronu – dowódca kompanii granicznej. Plany te składałem przeważnie do odpowiednio zaadresowanej szafy w kancelarii szwadronu – nigdy prawie do nich nie zaglądając, ale gdy gdzieś wy-

x lisi rojst" = dzikszo część puszczy obfitująca w linie rowy.

jeździłem na pogranicze, to w nocy - plan zasadzek skrupulatnie przeglądałem, - tak było i teraz.

Tej nocy - „lisi rojst" mało obsadzony, a tu mówią mi ludzie, że... właśnie tam idą.
Co mam robić?! - ośmiu chłopców i trzy dziewczynki ... może ktoś zginąć; ale jako oficer wogóle, a jako oficer K.O.P. szczególnie ... zdradzić tajemnicy... nie mogę... nawet w tych warunkach, w których sprawa nigdy nie wyjawi się, ale... tak mi ich szkoda...

Raptem zabłysła w mojej głowie myśl: -
- Idziecie na „lisi rojst"? - tam przecież bagna... nie przejdziecie... potopicie się..!
Przemytnicy zrobili zdziwione miny... oni przecież znają puszczę napewno lepiej niż ja...
- Nie panoczku! - tam sucho,... nawet wiosną, bo przecież tam... lisie nory ???
- Jak chcecie, - to wasza sprawa, ale ja jestem pewien,... zostaną... bagno.

– A.a.a, tak, tak panoczku! tam ... bagno! zakrzyknął pomocnik Kaziuka – Michał Kury. Zrozumiałem.

Ze spokojnym sumieniem wracałem do domu... przemytnik, – to nie szpieg, i nie dywersant, ... tych bym nie puścił.

Wypadek ten, jeszcze bardziej wzmocnił moją „pozycję" w sercach ludzi z „zielonej granicy"

Pewnego dnia zjawiła się u mnie nowa uroczysta delegacja ... Kaziuk... żeni się... !!! Beze mnie ślub odbyć się nie może.

Hulałem trzy doby, jak obryt, do upadłego.

Fakt ślubu Kaziuka nie mogłem ani rusz pogodzić z odrażającym kalectwem pana młodego, ale wyjaśniła mi wszystko, bardzo prosto i krótko – jego młoda żona, zresztą ładna wiejska dziewczyna:

– Cóż z tego, że on kaleka, ... ale tak..

to on chłop,- jak się patrzy,.. boją się go wszyscy,.. słuchają,.. bogactwo ma... „panią" przy nim będę....

Zrozumiałam... pieniądz czyni cuda.

Wkrótce po wypadkach polsko-litewskich w 1938 roku - Kaziuk miał pecha i... wpadł. Skazany został na 3 lata „odsiadki"

Przesyłał do mnie z więzienia listy, a ja mu odpisywałam.

Bał się biedak o „wierność" swej młodej żony.

- „Tyle lat... i bez mego dozoru...", pisał,-

- Proszę zajechać do niej czasem i... pokazać jej palcem... ona Was panoczku posłucha!

List zawsze zaczynał tak:

„Panoczku mój kochany!..."

Kończył słowami:-

„nigdy Was nie zapomnę - Wasz sługa
Kaziuk".

Do młodej stęsknionej wdówki zajeżdżałam, kiwałam jej palcem, ale... „za wierność" jej... gwarantować... nie mogłam.

Kampania wrześniowa zastała go jeszcze „na odsiadce", - niewiem jakie losy spotkały „sympatycznego bosmana".

Jestem pewien - jeśli żyje - wspomina mnie tak dobrze, - jak i ja jego.

— " —

Spotkanie z litewskimi ułanami

Jak już wspomniałem, - do roku 1938go stosunki pomiędzy Polską, a Litwą nie istniały (prócz tych - Kaziukowych, - przez zieloną granicę)

Granicznych punktów przerzutowych używano bardzo niechętnie i tylko w szczególnie ważnych sprawach.

Straż graniczna litewska i nasi KO.Pu patrzyli na siebie „zezem" i wrogo, a rozmowy odbywały się tylko z konieczności.

A przecież znaliśmy dobrze „tych" z za linii granicznej, - i odwrotnie.

Mnie oczywiście interesowała najbardziej

kawaleria litewska - szczególnie 2-gi pułk ułanów, stacjonujący w Olicie, oddalony od granicy naszego odcinka o około 35 km.

Z opisu i tajnych zdjęć znałem ten pułk doskonale, - oficerów pułku nawet personalnie, ale nigdy nie udało mi się zobaczyć ich żywych i na koniach - jako szwadron, czy pułk.

Wiedziałem, że pułk ten często odbywał ćwiczenia blisko granicy w naszym rejonie, niejeden raz zasadzałem się by ich zobaczyć, ale nie było to łatwe, bo granica przebiegała w lesie o gęstym podszyciu, - a oni blisko granicy nie podjeżdżali.

Dopiero później dowiedziałem się, że znali oni mnie i niejeden raz widzieli i samego, i ze szwadronem, bo i ja sam i je szwadronem nie kryłem się i niejeden raz jeździłem po samej linii granicznej - bez ukrywania się.
Kryłem się tylko wówczas, gdy wykonywałem jakieś zadanie służby granicznej.

Aż pewnego razu, na jesieni 1937-go roku pełniłem służbę ochrony odcinka toru kolejowego, który przebiegał bardzo blisko wzdłuż

linii granicznej - przejeżdżał bowiem z Warszawy do Wilna pociąg „extra" - kto jechał nie pamiętam.

Kiedy wreszcie szczęśliwie sobie przejechał, zebrałem rozstawione wzdłuż granicy moje patrole i swobodnym marszem podróżnym ruszyłem do domu do Olkienik - miałem przed sobą około 25 km. marszu.

Jechałem oczywiście bez ubezpieczeń i na przełaj - ścieżkami i przesiekami, w niektórych miejscach, dostałem po linii granicznej.

Nagle z za krzaka podnosi się nasz piechur K.O.P.'ista z normalnej zasadzki granicznej i zameldował mi, że przed chwilą widział tuż, za „ich" linią litewskich ułanów.

Ucieszyłem się niezmiernie, może teraz uda mi się ich zobaczyć, - czekałem na to dwa lata.

Zatrzymałem szwadron, a sam pojechałem przez krzaki w wskazanym przez piechura kierunku, stanąłem na linii

„wiech" granicznych i rozpocząłem obserwację.

Przed moimi oczami ukazała się duża bagnista polana i... naprzeciw... naprzeciw, aż dwa szwadrony ułanów z Olity!

Na przeciwległym skraju polany, pewna część ułanów litewskich siedziała na koniach, a część spieszona zajęta była nie łatwym i nie miłym zajęciem – wyciągali z bagna kilka koni ułańskich, które się ~~nie~~ zapadły

– Co oni u djabła... tu robili?

Zaśmiałem się i dałem złośliwy rozkaz, na który, cały mój szwadron wynurzył się z krzaków i stanął w szyku rozwiniętym na skraju bagnistej polany – na samej linii „wiech" granicznych.

Na ten widok rozległy się z tamtej strony granicy alarmowe sygnały i oba szwadrony litewskie natychmiast wypadły się w głąb lasu, – pozostawiając w topieli ugrzęzłe konie.

Mój szwadron ryknął śmiechem.

Owszem, było to dla nas bardzo zabawne, ale,... żal koni.

Postanowiłem:– jeśli Litwini nie wrócą, wydo-

będziemy ich konie z bagna i z odpowiednimi kartkami przypiętymi do uzd,... napędzimy na Litwę.

Do tego zamiaru jednak nie doszło, gdyż w tej chwili wysunęło się z lasu kilku ułanów litewskich pierwo w postawie jak w natarciu, a z boków dostrzegłem ustawione C.K.M'y.

– Co oni chcą zrobić? Chyba... nie nacierają... na mnie?

Oczywiście, że nie. Pod osłoną tej grupy,- ratownicza ekipa przystąpiła do wyciągania ugrzęzłych koni.

Robili to nowo i dlatego źle,- pod akompaniament śmiechu i dowcipów moich ułanów.

Nasza,- „podgadująca" postawa zawstydziła i uspokoiła dowódcę litewskich szwadronów,- zaniechał „bojowej" postawy, ściągnął ubezpieczenie, przysłał pomoc ratownikom i sam zaczął kierować akcją.

Wreszcie prawie wszystkie biedne koniska znalazły się na suchym brzegu, a ostatni

który zabrnął najdalej, musiał być przesuwany w naszym kierunku; bo tak nakazywały warunki topieli.

Kiedy biedny koniśko poczuł twardy grunt pod nogami, wykonał kilka silnych skoków, stanął na cztery nogi, a... po chwili ruszył kłusem... do mego szwadronu, - umazany błotem, - stanął koło naszych koni.

Ta przymusowa „końska zdrada" wywołała szał ubawu w szeregach moich ułanów, a napewno wstyd i strach... po tamtej stronie, - napewno myśleli, że zabierzemy im konia, był już w Polsce.

Biedny major - dowódca tych szwadronów miałby ogromne przykrości, a dla pułku... wstyd na całą Litwę.

Nie miałem oczywiście zamiaru wyrządzić bądź co bądź, kolodze po rodzaju broni - jakiejkolwiek krzywdy, ale bawiliśmy się jego kosztem - ile wlezie.

- Szwadron, - uwaga! Dość już zabawy! Śmiechy i dowcipy ustały.

- Kapral Kaczyński, - weź tego konia i skrzyżm

bagna zaprowadzi go... ułanom litewskim i pozdrów ich dowódcę od Szwadronu kawalerii K.O.P. Olkieniki..!

Mówiłem to naumyślnie głośno, by słyszano mnie po tamtej stronie wiech.

Kapral migiem odprowadził zabłąkanego litewskiego rumaka, głośno i przepisowo przekazał mój rozkaz i kłusikiem, z „fasonem" wrócił do szwadronu.

Dowódca litewskiego dywizjonu ułanów zasalutował mi w milczeniu i ułani jego zniknęli w lesie.

Ruszyliśmy do domu i my.

Czyż mogłem wówczas przepuszczać, że w niecały rok później będę tę końską przygodę w granicznym bagnie – wspominał... w kasynie 2go Pułku Ułanów Litewskich w Olicie.

— " —

Rozkaz: wykonać - czy odstąpiono

Jesienią 1937go roku szwadron nasz został telefonicznie zaalarmowany przez dowódcę Brygady K.O.P. Grodno.

Otrzymaliśmy rozkaz natychmiastowego wyruszenia do jednej ze strażnic Kompanii Granicznej w rejonie stacji kolejowej Olkieniki.

Wyszkolenie szwadronu było bez zarzutu, to też dosłownie w kilka minut po otrzymaniu rozkazu - jechaliśmy już w pełnej bojowej gotowości na wyznaczony punkt.

Zachodziliśmy w głowę, - co się stało? Nikt niczego nie wiedział, ale od roku wyczuwało się już specjalne napięcie na granicy.

Zdenerwowany dowódca kompanii granicznej poinformował: przed godziną został zabity przez litewską straż graniczną - kapral Serafin z jego kompanii - pełniący służbę na granicy, - ciało kaprala leży po stronie litewskiej granicy. Litwini nie chcą oddać ciała kaprala i przyjęli postawę bojową.

Szwadron zakipiał z gniewu i tylko mocna dyscyplina panująca w W.P. - odwróciła mogącą

lada chwila nastąpi - masakra.

Z marsowymi minami patrzyli na mnie ułani.

— Czekamy na rozkaz - chłopcy!

Dopiero wieczorem zostaliśmy wezwani na odprawę do Sztabu Kompanii Granicznej. Byli tam już oficerowie z dowództwa K.O.P w Warszawie i cywilni dygnitarze z województwa z Wilna.

Z odprawy wywnioskowałem, że nikt nie wiedział jak to się stało i dlaczego, - fakt był faktem - kapral K.O.P. Serafin...zabity i znajduje się w rękach Litwinów. Do dziś nie znam tej bardzo przykrej sprawy, a domysły moje mogą być nie prawdziwe - dlatego ich nie podaję.

Rozmowy z Litwinami trwały długo, a my staliśmy na strażnicy w ostrym pogotowiu.

Dopiero w drugim dniu Litwini wydali ciało kaprala Serafina, a przekazanie odbyło się z honorami wojskowymi.

Pogrzeb kaprala Serafina miał charakter wielkiej manifestacji wiernej służby żołnierza K.O.P. i nastroju w stosunku do Litwy.

Atmosfera - na granicy litewskiej stawała się coraz bardziej napięta i nieprzyjemna - zdawało się, że lada chwila musi się coś stać.

Stało się - w połowie marca 1938 roku

Nadeszły rozkazy gotowości bojowej z zapasami amunicji i żywności na czas dłuższy.

- Trwaliśmy kilka dni w „ostrym pogotowiu" i głowiliśmy się - co się właściwie dzieje?

Tajemnicę wyjaśnił następujący rozkaz:

a) Rząd Rzeczypospolitej Polskiej wystosował do rządu Litwy ultimatum - z żądaniem natychmiastowego nawiązania normalnych stosunków.

b) Szwadron kawalerii K.O.P. Olkieniki wymaszerować natychmiast do wsi X w rejonie Druskienik, którą osiągnąć do godz. Y.

Teraz - sprawa jasna, - jeśli Litwa nie przyjmie warunków ultimatum - przemówi wojsko.

Maszerujemy marszem pośpiesznym do rejonu

Druskienik.

– Może spotkamy się prędko z naszymi ułanami z „bagna"– partyzantami.

Po drodze mijaliśmy odwodowe kompanje piechoty K.O.P.'u, które prawie biegiem dążyły w tym samym kierunku.

Brr – nie chciałbym wówczas służyć w piechocie, – jak oni wyglądali?

Na miejscu zbiórki zastaliśmy już dużo wojska K.O.P., a od znajomego oficera z 13 pułku Ułanów – jako łącznika z Armii dowiedziałem się, że Wileńska Brygada Kawalerii wyruszyła na pogranicze litewskie, oraz że tam że ruszyła z Wilna piechota i artylerja.

Od dowódcy O.G. Druskienniki szwadron otrzymał zadanie:

1. rozpoznać kierunek na Olitę i samą Olitę,
2. działanie rozpocząć na rozkaz „wykonać"!

– Teraz… będę miał… konia dowódcy 2go pułku Ułanów z Olity! – przechwalałem się.

Naraz czekamy, pociecha płotkujemy

i sami słuchamy plotek i „pewnych wiadomości."

Nie rozumiem jak to mogło być, ale plotki i „hiobowe wieści" - spadły na nas - jak szarańcza. Szeptano że: Litwa jest w pełnej gotowości do wojny, że na granicy grupują się całe korpusy wojska Litwy, że granicy bronią zasieki z drutów kolczastych i... wreszcie, że na Litwę nadeszły ochotnicze oddziały niemieckie.

Wszystko to jakoś nie „trzymało się kupy," choćby dlatego, że kiedyż ta biedna Litwa miała to zrobić - do tej pory podobnych sygnałów nie było.

W każdym razie odezwały się echa - śmierci kaprala Serafina.

Gdyby na Litwie coś podobnego działo się, wiedziałby o tem mój przyjaciel przemytnik Kazimk, a zatem wiedziałbym i ja... i to dokładniej - niż nasz wywiad.

Nie wierzyłem w te plotki, ale... djabeł nie śpi. Może zrobili to w ostatniej chwili, a ja... mam iść pierwszy! i to tak odrazu... w te zasieki i pola minowe... na te działa i korpusy?? niech to djabli wezmą... nawet - „pułkownikowego konia"!

Wpadłem nagle na genialny pomysł,... ...

a od czegoż moi „przemytniczo-kłusow-niczy" przyjaciele?

– Wiszniewskiego – do mnie!

Po chwili zameldował się mój ulubieniec, doskonały podoficer – wachmistrz Wiszniewski:

– Pojedziesz zaraz do Olkienik i Tomaszka!

Patrzył na mnie zdziwionym wzrokiem.

Od kolegi ze sztabu pożyczyłem samochód i Wiszniewski pomknął po... „extra wywiadowców".

Jak i było do przewidzenia, – nie zawahali się, – po paru godzinach stanęli przede mną Wackus i Kazik – o ile też ostatni mógł stać. – gotowi na wszystko.

Wyjaśniłem im o co chodzi i poprosiłem o przysługę – niechże „po swojemu" w sławnym „incognito" przespacerują się parę kilometrów w głąb Litwy i sprawdzą jak to tam wygląda z tymi umocnieniami i t.d., bo my, – do czasu ewentualnego rozkazu „wykonać" nawet nosa wetknąć na granicę nie możemy.

Obaj śmiali się z tych plotek i nie wierzyli, ale oczywiście chętnie zaofiarowali

swą pomoc.

Wackus poszedł sam, a Kaziuk zmobilizował na miejscu dwóch, czy trzech przemytniczych „sąsiadów", i mój „extra wywiad" pomknął na Litwę, a ja spokojnie, ale nie wygodnie, bo w ubraniu i z bronią - poszedłem spać.

Moi „extra zwiadowcy" wrócili nad ranem, i .... odrazu ulrzęśli Teb... wszystkim plotkom.

Żadnych zasieków, żadnych min, żadnego wojska... ba, nawet normalna litewska straż graniczna... została wycofana.

Na Litwie... popłoch i zamieszanie, a plotki na nasz temat więcej „bojowe" - niż u nas... o nich.

– A ja taki - konia dowódcy pułku litewskich ułanów... będę miał! - przechwalałem się teraz z „zadartym nosem".

W kilka godzin później nadszedł wreszcie oczekiwany w napięciu rozkaz... zamiast jednak „wykonać"... brzmiał.. „odtrąbiono", wracać na swoje miejsca postoju...

Litwa.. ultimatum... przyjęła.

Ułan z ułanem zawsze się dogada.

Po wypadkach marcowych 1938 roku, - stosunki polsko-litewskie zaczęły wkraczać na normalne tory.

Stąd wynikły różne liczne wyjazdy różnych komisji - polskich na Litwę i litewskich do Polski, w celu uregulowania wielu spraw granicznych, dotąd zaniedbanych.

Dowiedziałem się pewnego razu, że Olkieniki są punktem wyjazdu którejś tam z rzędu komisji do Olity, właśnie tej Olity, gdzie stacjonowali moi znajomi z bagiennej polanki - ułani litewscy.

Wkręciłem się do tej komisji natychmiast, bez wielkich trudności, ze względu na dobre stosunki z Brygadą K.O.P. Grodno i na moją znajomość języka rosyjskiego, w którym toczyły się rozmowy.

Elegancko, - samochodem z dowództwa Brygady, wyelegantowani na ostatni guzik - jedziemy.

Teraz, może mi się uda przynajmniej... zobaczyć... konia dowódcy litewskich ułanów, bo przecież konferencje komisji mają się odbyć właśnie w koszarach ułańskich.

Dojeżdżamy do Olity - przeprowadzani ciekawymi spojrzeniami,... bo to przecież nowość... polscy oficerowie... na Litwie!

Koszary ułańskie już od pierwszego spojrzenia zrobiły jak najlepsze wrażenie - czysto, teren ładnie zadrzewiony, ładne trawniki i kwietniki. Napewno teraz lepiej wyglądają jak przed 1914 rokiem, kiedy kwaterował w nich pułk carskiej kawalerii rosyjskiej.

Szkoda tylko, że w komisji nie biorą udziału tamtejsi ułani, gdyż pułk ten nie należał do służby granicznej,... ale może uda się jakoś pogadać i z ułanami.

Przed konferencją zaproszono nas na obiad do kasyna ułańskiego, ale bez udziału ułanów.

Przy obiedzie - panował nastrój dość sztywny i bardzo oficjalny, a po obiedzie - konferencja,

która oczywiście nie ciekawiła mnie ani trochę, - myślałem jak stąd wyrwać się i jakoś nawiązać kontakt z ułanami.

Przed wieczorem okazało się, że musimy pozostać do jutra.

- W to mi graj! - pomyślałem i wyszedłem przed gmach kasyna. Spacerowałem ostrożnie nie oddalając się zbytnio od gmachu, by nie narazić się na ewentualną uwagę.

Mijający mnie ułańscy oficerowie salutowali grzecznie i szli dalej bez słowa.

Z kiepską miną usiadłem na ławeczce przed kasynem, do którego wchodzili co chwila oficerowie z pułku z paniami.

Nagle... w sylwetce zbliżającego się oficera... udojrzałem mnie... coś znajomego. Ależ tak!... to dowódca owego dywizjonu z topiącymi się końmi! (jak się okazało - major - zca dcy pułku.

Ten... nie ominął. Podchodził wyraźnie do mnie.

Uniosłem się żywo i stanąłem na „baczność"

i po polsku zameldowałem kim jestem i co tu robię.

Przedstawił mi się także po polsku i poprosił usiąść,... i wtedy usłyszałem:-

.- Trzeba przyznać, że pan sobie nieźle na nas użył powoźniku,... wtedy gdy topiły się nasze konie.

Zdaje się, że Niemiaszek odkrył moje psotki, wówczas... była to świetna zabawa, ale teraz wydała mi się kiepskim dowcipem,... byłem zakłopotany.

Wybawił mnie z tego stanu major, który widząc z uśmiechem po moim zamieszaniu powiedział:-

- To nic... kolego, różnie bywa;... a teraz może pan chce obejrzeć konie?

Oto doczekałem się spełnienia moich marzeń,- ruszyliśmy do stajni.

Muszę rzeczywiście stwierdzić, że stajnie były doskonale utrzymane, a konie oceniłem na

bardzo dobrze.
Widziałem i konia... dowódcy pułku, stał sobie w dobrym boksie zajadając siano... nie przypuszczał, że klepię go po szyji ten... kto chciał go „zawojować", bo... gdyby mógł o tem wiedzieć i zrozumieć, teraz... pokazałby mi... figę.
Uśmiechnąłem się... sam do siebie.

Rozmowa z majorem stawała się coraz żywsza i bardziej bezpośrednia.

W pewnej chwili major zapytał:-

- Czy pan przypadkiem nie jest rosjaninem i byłym rosyjskim kawalerzystą?
- Czemu panie majorze? - nie wyglądam... na Polaka?

Major roześmiał się.

- Bo takie pan... robi wrażenie!
- Rosjaninem... w żadnym wypadku, a rosyjskim kawalerzystą tak... kozakiem!
Wyjaśniłem majorowi swoje pochodzenie i podkreśliłem, że jestem polskim obywatelem

od wielu lat.

Major wyraźnie ucieszył się i przeszedł na język rosyjski.

— A więc pan, to doskonale, łatwiej się z panem rozmawia, ... bo jak pan wie... z Polakami stosunków do tej pory nie mieliśmy żadnych, a teraz wprawdzie są... ale narazie jeszcze... wymuszone.... pan nas łatwiej zrozumie.

Starałem się wyjaśnić majorowi, że co tam jest między „rządami" to jest, ale że my - polscy oficerowie, nie żywimy do Litwinów żadnych wrogich uczuć, a tym bardziej do litewskich kolegów - ułanów.

— Dobrze, dobrze, - czas swoje zrobi, a ja nie chciałem pana dotknąć, ja też jestem byłym huzarem rosyjskim.

Temu pokrewieństwu kawaleryjskich dusz zawdzięczam zapewne zaproszenie mnie do kasyna na wielką galę z racji imienin, aż trzech oficerów pułku.

Miałem skrupuły, gdyż koledzy z komisji z którymi przyjechałem, a właściwie „doczepiłem" się

nie byli do kasyna na „galę" zaproszeni.

Okazało się, że już pojechali z gospodarzami ze straży granicznej - na kolację do miasta, a o mnie byli spokojni i pewni że: ułan - pójdzie do ułanów.

Zwróciłem uwagę, że jestem w mundurze służbowym, a galowego z sobą nie zabrałem.

- To nie przeszkadza! - przecież pan nie przewidywał zaproszenia na bal!

Z lekką tremą wchodziłem do litewskiego oficerskiego kasyna pułku ułanów, w tej chwili gwarnego, szumiącego odgłosami rozmów i śmiechu, oraz dźwiękami pułkowej orkiestry.

Major przedstawił mnie dowódcy pułku, po czym nastąpiła trójjęzyczna prezentacja... zameldowałem się po polsku, dowódca pułku powitał mnie po rosyjsku, a potem przedstawił mnie całej sali - po litewsku, i ku memu zdziwieniu dodał po rosyjsku:

-„eto tot oficer s eskadrona Olkienniki, kotoryj stolko krowi isportił naszemu majoru - kogda on zawiaz w bołotie!"

„To ten oficer, który napsół tyle krwi naszemu majorowi, wówczas kiedy on ugrzązł w błocie".

Nieco dalej wezmą to „bagno", ale dodatek pułkownika wywołał uśmiechy pani i oficerów i jakby przyjazne spojrzenia.

Byłem jeszcze lekko speszony ogólną uwagą w kierunku mojej osoby i aby się ratować – poprosiłem z miejsca... panią pułkownikową do walca.

W tym pierwszym walcu rozmawiała ze mną jak i ze mną – po rosyjsku, ale w którymś tam z następnych tańców – sama zaczęła mówić po polsku.

Okazało się, że pochodzi z polskiej rodziny, (takich dużo na Litwie) że nawet była w Warszawie (droga przez Królewiec) i nawet na Międzynarodowych Zawodach Konnych w Łazienkach, że bardzo lubi piosenki polskie, a szczególnie ułańskie, które wówczas słyszała, i że – wielka szkoda, że tutaj... w kasynie litewskiego pułku ułanów... tak jakoś... nijako... zaśpiewać po polsku.

Czułem się coraz przyjemniej i swobodniej, - moja osoba wywołała zaciekawienie „tubylców" obojga płci. Rozpytywano ciekawie o stosunkach służbowych, towarzyskich, a nawet jedna z pań zapytała mnie o... modzie kobiecej w Warszawie i w pułkach kawalerii.

Zdziwiła się, gdy jej powiedziałem, że w tej dziedzinie - to ja „krugom durak" - bowiem jej mąż sam kupuje „kiecki" i i inne przynależności kobiece.

- Ja tego nie robię proszę pani, ale stwierdzam, że nasze panie są bardzo eleganckie, a pod względem mody i elegancji pań, to Warszawa uchodzi za „mały Paryż".

Po kolacji - bardzo wytwornej i ładnie podanej, zakrapianej „litewską gorzką" i i innymi specjałami, nastrój stawał się coraz weselszy, szczególnie gdy około godziny 2ej - odszedł dowódca pułku, ale została jego żona.

- Pani... została? zapytałem.

- Pani została i... będzie się bawić,"

odpowiedziała z czarującym uśmiechem.

Honory „pana domu" czynił teraz „mój" major. Zapoznałem się w międzyczasie z kapelmistrzem, który jak się okazało, służył dawniej w orkiestrze rosyjskich huzarów, a po rewolucji w Rosji w „Jeździe Tatarskiej"*

Postawiłem mu przy bufecie „jeden głębszy" i dopiero potem uprzytomniłem sobie ze zgrozą, że przecież... nie mam litewskich pieniędzy.

Bufetowy chętnie przyjął nasze złote,... i on miał pewno swoje „chody," albo zrobił to przez grzeczność.

Gdy kapelmistrz wrócił na swoje miejsce ... ja.. powiedziałem szybko... „ułańska decyzja":

— A teraz,... mazureczek... proszę państwa! i sam się przestraszyłem... czy nie przeholowałem nieco.

Nic podobnego! Kapelmistrz podniósł „laseczkę" i w... kasynie oficerskim litewskich ułanów zabrzmiała cudna melodia naszego... polskiego mazurka... Namysłowskiego.

Pary ochoczo ruszyły na parkiet, a ja...

* Jeden z oddziałów kawalerii Polskiej w 1918-1920

pokazałem najbliższą damę i tak wy-
wijałem, że w końcu zostaliśmy w szalo-
nym tańcu sami...

Przysięgam, że w życiu już nie tań-
czyłem mazura tak – jak wówczas.

Sala biła brawo i teraz atmosfera
stała się właściwa.

Pani pułkownikowa niepotrzebnie się
martwiła, że... nie usłyszy ułańskich
polskich piosenek...

Śpiewałem je z całym zapałem, na
jaki było mnie stać i to pod akompania-
ment litewskiej kapeli, a... panie i ułani
litewscy podciągali bardzo ochoczo.

Po wyczerpaniu repertuaru piosenek
znanych – zacząłem te... „nieznane" –
nasze kawaleryjskie „żurawiejki", które
wywołały entuzjazm – bo zwyczaju tego nie
było wśród ułanów litewskich, ale o tych
„żurawiejkach" dużo słyszeli.

Okazało się, że prawie wszyscy rozu-
mieją po polsku i że my – polscy ułani...
imponujemy im, – wyraźnie wyczułem ucz-

nanie wyższości Wojska Polskiego.

– U was 40 pułków kawalerii, a nie dwa – jak u nas! – no i macie piękną hodowlę koni.

Ze zdziwieniem i satysfakcją słuchałem tej prawdy i to z ust Litwinów i było mi bardzo przyjemnie.

Wreszcie rozbawieni ułani litewscy zakrzyknęli: –

– O naszym pułku… żurawiejkę!!

– Tak, tak… chcemy naszą żurawiejkę!!

Masz ci los, tak odrazu?.. ja przecież nie poeta…

Ale… było to około 4-ej rano, kiedy na dworze było już różowo i… w mojej głowie także,… palnąłem im z miejsca żurawiejkę, – przyjętą wybuchem śmiechu i braw, aż ściany kasyna zadrżały:

„Srodze błotem umazani,
To… z Olity – są ułani”.

Poprosiłem o ciszę, a gdy sala jako tako

112~~756~~

uspokoiła się - zaszarżowałem po ułańsku!-

- Proszę państwa! - u nas w polskiej kawalerii przyjęto, że „żurawiejkę" na swój pułk śpiewa się i wysłuchuje w „przysiadzie"... a kto tego nie zrobi... znaczy że... nie ma poczucia solidarności kawaleryjskiej i pułkowej.

- Podaję to państwu w formie informacji, ale ja... od zwyczaju naszej jazdy odstąpić w żadnym wypadku nie mogę... żurawiejka na wasz pułk została przyjęta... przez aklamację... dlatego teraz... wykonam ją według zwyczaju...

Poprosiłem, by nalano mi kieliszek „litewskiej gorzkiej" - podniesiono mi „puhar wina".

- A panie i panowie?

W mig stali już wszyscy z kieliszkami w ręku.

Wykonałem „przysiad” i zacząłem:

„Srodze błotem... : :

..........”

Zaczęło mi mocno bić serce... z radości...

całe towarzystwo znalazło się w „przysiadzie”.

i przyśpiewka śpiewana przez wszystkich roz-

sadzała ściany kasyna.

Wprowadziłem do pułku ułanów litewskich

.. : nutkę polską ... ułańską.

Po zakończeniu „Żurawiełki” wypiłem wi-

no, a pucharem trzasnąłem o ziemię tak, że

rozleciał się w „drobny mak”, - uczynili to

wszyscy, ... wino jednak ... „dobiło” mnie -

gwałtownie poczułem, że koniecznie, ale to

koniecznie .. muszę iść spać ....

Na obrady komisji zjawiłem się do-

piero około południa z hukiem stu armat

w głowie i wyrzutami sumienia.

Szanowna komisja była jednak pełna

wyrozumienia dla .. ułana, no i był to

dzień świąteczny (Komisja urzędowała z konieczności)

Z kolegami z komisji ustaliliśmy jednak - na wszelki wypadek, - że w domu, po powrocie opowiadać „o wszystkim", raczej... nie należy

Tegoż dnia przed wyjazdem - poszedłem do dowódcy pułku ułanów - odmeldować się i podziękować za gościnę.

Przyjął mnie bardzo uprzejmie, a może nawet i serdecznie i stwierdził z uśmiechem, że ja też... dzielnie pracowałem na rzecz polepszenia stosunków polsko-litewskich, a ten... mazur i ułańskie polskie piosenki w kasynie oficerskim litewskich ułanów to... rzecz do tej pory nie bywała... cenna i znamienna

– A „żurawiejki" panie rotmistrzu - na nasz pułk... doskonała!

Nie mniej serdecznie i po przyjacielsku żegnał mnie „mój" major.

– „Wot ty mienia... togda"... pokarautił![x] i serdecznie mnie uściskał.

x Ot, wówczas ty mnie przyłapałeś.

Gdy szedłem do samochodu, by za chwilę wracać do domu, - mijani oficerowie litewscy serdecznie kiwali rękami i z filuternym uśmiechem podśpiewywali „Żurawiełkę" naszego szwadronu:

„ Stań, znane zagóróczyki"
Szwadron K.O.P.'u Olkieniki."

— " —

Z przyjemnością stwierdzić muszę, że we wrześniu 1939r. ci-ż Ułani litewscy z Olity - dowiedli swojej solidarności ułańskiej.

Wojska litewskie starego rządu Litwy wkroczyły w końcu września 1939 roku do Wilna i części wileńszczyzny (nie na długo) - do Olkienik wkroczył Szwadron ułanów z Olity.

Dowódca tego Szwadronu bardzo grzecznie złożył służbową wizytę mojej żonie i oznajmił, że rodzina moja jest pod opieką pułku Ułanów z Olity, że nic złego jej się nie stanie.

Choć był ów oficer w Olkienikach krótko, ale robił co mógł by okazać pomoc i szacunek.

116 ~~160~~

Chrzęstny ojciec.

Któregoś dnia, podczas porannego treningu konia sportowego przejeżdżałem koło budynku urzędu gminy.

Wpadł mi w oko chłopina wileński, który z wozem zaprzężonym w jednego konika - stał koło gminy.

Tak się złożyło, że tego dnia do południa, ze trzy razy przejeżdżałem tą drogą, a mój chłopina wciąż stał w tym samym miejscu i na coś czekał.

Zatrzymałem konia.

- Co tu robicie gospodarzu... tak długo?
Pokornie zdjął czapkę, pokłonił się i powiedział:

- Mam prośba.. do pana wójta.... kazali czekać.

Szlak mnie trafił. Zsiadłem z konia, kazałem chłopinie go potrzymać, a sam wpadłem do gminy....

Załatwili chłopinę w ciągu 5 minut.

Zadowolniony chłopina zajechał do szwadronu - podziękować.

- Wiek wam tego panoczku nie zapomnę!

Zapomniałem o incydencie, ale pewnego dnia przed wieczorem zameldował mi ordynans - interesanta.

- Poproś, niech wejdzie!

Po chwili wszedł nieznajomy chłopina - poznałem podopiecznego z pod gminy.

- No co tam? Znów może pan wójt wam dokucza?

Nisko się ukłonił.

- Nie panoczku, - ja z inną prośbą do was!

- Proszę, co dla was mogę zrobić?

- Ja przyszedł was prosić panoczku na... ojca chrzestnego - dla mego „mizinca".ˣ

Zatkało mnie. Tego jeszcze nie było!

Wytłumaczałem się od tego zaszczytu, jak mogłem, ale chłopina... nie ustąpił.

Musiałem się zgodzić.

Omówiliśmy termin i wnieboweięty chłop

ˣ najmłodszy syn

odjechał.

Po zastanowieniu się nad obietnicą, byłem wściekły na siebie, bo przecież ja zupełnie na tych rzeczach – nie znam się.

Trzeba zatem było nauczyć się ceremoniałów – domowych i kościelnych, a także obowiązków „ojca chrzestnego".

Przygotowałem się – jak się zdawało – solidnie.

Nadszedł wreszcie dzień umówiony. Pojechałem do wioski rodziców mego chrzestniaka – tam już na mnie czekano.

Koło chaty, w której wniebogłosy darł się mój chrzestny syn – zebrała się cała wioska.

– Bo to nie żarty... u Steczkiewicza.. syna do chrztu trzyma sam.. ... rotmistrz.

Powitano mnie jak jakiegoś dygnitarza i wyraźnie z radością, no i naturalnie pod „hałas" wiejskiej kapeli – posadzono na miejscu honorowym.

Rozpoczęło się śniadanie - oczywiście nie kawa lub herbata, a... dużo różnego jedzenia i dużo „monopolowej."

Po jakimś czasie - marszałek dworu - „babka" - regulująca uroczystością, ogłosiła, że pora jechać do kościoła.

Przeraziłem się... do kościoła i... po takim śniadaniu?

Teraz sama „pani marszałek dworu" uroczyście ogłosiła, że rodzice „mizinca" postanowili... uraczyć „małego wilniuka"... imieniem.... Jarosław, i to szczególnie na cześć ich „dobrodzieja".

Niech będzie... Jarosław, byle nie darł się, pomyślałem sobie, no i chyba to... pierwszy Jarosław... na wileńszczyźnie?

„Marszałek dworu" usadowiła mnie i chrzestną matkę do mojej bryczki.
Byłoby to nawet bardzo... tego, gdyż chrzestna matka była wcale do rzeczy młodą kobietą - gdyby nie podano nam... przysięgo

Jarosławka, który darł się w dalszym ciągu i kopał.

Całym orszakiem ruszyliśmy do kościoła, który znajdował się w miasteczku Ejszyszki - oddalonym o jakieś 8-10km.

Podróż z bachorem była fatalna... darł się... fikał, zdaje się posiusiał się i coś tam jeszcze, ... takich przyjemności w życiu jeszcze nie przechodziłem, ... nawet nie miałem ochoty poświęcić więcej uwagi... chrzestnej matce...

Nareszcie zajeżdżamy z „fasonem" pod kościół, matka chrzestna obejrzała malca, poprawiła becik i .... ostentacyjnie wręczyła... mnie, .. to małe krzyczące i fikające zawiniątko.

Czegoś podobnego jeszcze na ręku nie nosiłem. Nie umiałem trzymać takiego „ciężaru". Nie było jednak rady - tak nakazywał ceremoniał.

Cały orszak, ze mną na czele wszedł do kościoła.

Mój Jarosławek - rzeczywiście darł się dalej i fikał - musiałem użyć wiele fizycznego sprytu, by nie wypuścić go z rąk.

Nie dostrzegłem nawet kiedy rozpoczął się ceremoniał chrztu.

W chwili, kiedy mój mały jednoimiennik nieco uspokoił się popatrzyłem na księdza i otoczenie, ... spostrzegłem, że jakoś wszyscy dziwnie patrzą na mnie.

Co to może być?

Okazało się, że przejęty wszystkim trzymania „Jarosławka" - nie obnażyłem głowy i prawie przez cały czas ceremoniału stałem w kapeluszu na głowie.

Ciekaw jestem czy mały Jarosław - przeżył wojnę 1939 r. i okupację? - jeżeli tak, to jest już dorosłym mężczyzną, a ja... życzę Mu - powodzenia w życiu.

-•-

122 766

Myszka.

Na początku tej części moich „Migawek" wspominałem o składzie personalnym naszego szwadronu i o stosunku oficerów do podoficerów, który był bardzo dobry. Znałem doskonale naszych podoficerów i ich rodziny.

Lubiłem szczególnie młodą parę - plutonowego Franciszka Kota (zdjęcie na wewnętrznej stronie okładki - z wilkami) i jego małżonkę uroczą panią Marysię. Wyróżniała się ona swoją urodą i intelektem.

Małżeństwo to było bezdzietne, gdyż urocza pani Marysia miała jakieś tam „zrosty", które nie pozwalały jej zostać szczęśliwą matką.

W roku 1940 urodziła się im jednak córeczka, którą nazwali uszczęśliwieni rodzice Maria, a pieszczotliwie Myszką.

Jak się okazało, - przyczyniłem się do tego ... ja, a raczej „wersa ułańska".

Stało się to tak:
w roku 1938/1939 obchodziliśmy „Sylwestra" na wspólnej zabawie w świetlicy Szwadronu - wyjątkowo hucznie i wesoło.

Około godziny 4 nad ranem rozpoczął się „biały mazur".

Chwyciłem panią Marysię i w tany. Tańczyła doskonale. W pewnym momencie zostaliśmy „na parkiecie" sami, reszta „wysiadła", ale muzyka dodawała nam otuchy i animuszu.

Nie tańczyłem, a ... szalałem.

W pewnym momencie - pani Marysia wymknęła mi się z rąk i ... znikła, stało się to błyskawicznie, a ja speszony i zdziwiony zostałem sam.

Na sali rozległy się okrzyki przerażenia. Okazało się, że jakimś cudem, w szalonym mazurze - wsadziłem panią Marysię - do orkiestry, która miała swoje miejsce w zagłębieniu - pomiędzy salą, a sceną.

Wgłębienie to było dość głębokie - upadek do niego z szalonego tempa mazura - był dość poważny.

Panią Marysię zaniesiono do domu na rękach

a przed południem odwieziono do Wilna, do szpitala.

Chorowała dość długo, gdyż na skutek upadku - popękały „zrosty"

Ten właśnie upadek w mazurze i jego skutki, oraz zabiegi w szpitalu przyśpieszyły pani Marysi... zdolność macierzyństwa.

Na skutki mojej „teorii" wtargniętej nie trzeba było długo czekać, bo już na początku roku 1940 - pani Marysia... została matką śliczną Myszki.

Biedny Franek Kot nie długo cieszył się swoją ukochaną córeczką, gdyż w końcu roku 1942 został, tam że - w Olkienikach, w bestialski sposób zamordowany przez litewskich sługusów Hitlera.

Pani Marysia i Myszka przetrwały okupację i w roku 1946 tym przyjechały do Poznania, - gdyż tu mają rodzinę.

Z przyjemnością patrzyłem na śliczną

małą Myszkę, która z biegiem lat przekształciła się w podlotka, pannę i wreszcie w piękną kobietę.

Dziś, - w chwili gdy piszę moje „Migawki” - pani Marysia jest już „babcią”, a Myszka szczęśliwą małżonką i matką, i... magistrem farmacji.

Myszka - w wieku 12-13 lat.

Chrzest ułański - Pani Ireny.

Rozeszła się wiadomość, że kolega porucznik Bronek M. z kompanii Odwodowej K.O.P. Olkieniki, która stacjonowała również w Olkienikach - żeni się.

Przecrynski... ożenił się.

Młodzi małżonkowie wynajęli mieszkanie na wsi - innych możliwości nie było, i wraz z „gratami" zjechali do Olkienik.

Rozpoczęły się wizyty młodej pary.
Pani Irena - Lwowianka, okazała się bardzo miłą - orzekliśmy, że nadaje się do naszego towarzystwa.

Młoda małżonka natomiast - mieszkanka Lwowa, była narazie przestraszona warunkami bytu w zapadłej mieścinie Puszczy Rudnickiej.

Po złożeniu wizyt i zapoznaniu się z całym towarzystwem Olkienickim, państwo M. postanowili zamiast rewizyt - „wydać" wspólne przyjęcie dla wszystkich - komu złożyli wizyty.

Pomysł podobał się, był to gest prostego i szczerego wejścia do „nowej gromadnej rodziny".

Pani Irena, jako nowy człowiek z „cywila” - nie znała naszych zwyczai i sposobu bycia, do tej pory bowiem znała środowisko i życie mieszczuchów dużego miasta, a teraz raptem trafiła do rodziny wojskowej i to K.O.P'u.

Postanowiliśmy z kolegami zafundować pani Irenie na przyjęciu - „chrzest ułański”.

Bronek M. - Jej mąż znał już nasze ułańskie „fidrygały”, lubił je, ale obiecał mamo trzymać język za zębami, aż do przyjęcia.

W chłopskiej chacie, w małym, ale dobrze urządzonym mieszkaniu państwa M. zebrała się cała paczka - zgranych z sobą gości.

Podziwialiśmy ładne meble, aż za ładne, na graniczne warunki, oraz specjalnie ładne zastawy stołowe.

- Prosimy do stołu!

Pani Irena nie przeczuwając nic złego - z przemiłym uśmiechem czyniła honory pani domu.

Pierwszy toast oczywiście należało wypić

za zdrowie młodej pary

Mrugnąłem do kolegów... podniosłem się, powiedziałem kilka słów skierowanych pod adresem gospodarzy i oczywiście tradycyjnie zakończyłem:-

– Młodej parze... sto lat!..

Wychyliłem kieliszek /z kompletu pięknego serwisu/ do dna, potem... wyrżnąłem nim o podłogę.. rozleciał się w „drobny mak!"

Nikt ze starego towarzystwa, nawet panie – nie mrugnął okiem, znali już z praktyki na sobie ten zwyczaj, ale.... trzeba było widzieć minę pani Ireny!

Zamieniła się w „słup soli", a buzia stała się purpurowa,... ale jakoś się opanowała.

Po jakimś czasie zaaranżowałem drugi toast,– zdrowie pani domu! Drugi kieliszek poszedł w drzazgi!

Pani Irena znów poczerwieniała, powieki jej zadrgały, ale... i tym razem opanowała się.

Kiedy podniosłem toast w cześć Swadrona i Kompanii Odwodowej i 5 kieliszków (jak i 4-ch oficerów kompanii)... z pięknego serwisu... poszły w drzazgi, - pani Irena... nie wytrzymała, - wybuchnęła spazmatycznym płaczem, uciekła do drugiego pokoju, rzuciła się na łóżko... i zaczęła już „beczeć".

Uznaliśmy że już dość, że „chrzest ułański" przeszła, i więcej kieliszków tłuc nie należy (pozostało z tuzina... tylko 5)

Długo trzeba było miłą Lwowiankę uspakajać i tłomaczyć, że to... „kopytkowe", że taki nasz zwyczaj, że każdy z nas to samo przechodził, że bez tego.... wkupić się do naszej rodziny - nie można.

Wreszcie uspokoiła się, ale jeszcze cała roztrzęsiona... wyszła do gości.

My.... bawiliśmy się dalej doskonale, a pani Irena... napewno przeżywała stratę pięknego serwisu, i na mnie.. tego wieczoru patrzyła „wilkiem".

Nad ranem jednak, gdy opuszczaliśmy miły dom państwa M. - pani Irena z uśmiechem

podała mi swoją ładną „łapkę" i z lwowskim akcentem powiedziała:–

– Niech pana... kaczka kopnie – panie Stasiku!

– Trusiu złota,... to nie Lwów, a krzy- Puszcza Rudnicka.... do Rodziny K.O.P'u... trzeba się... wkupić!

Teraz już śmiała się wesoło i szybko przebolała stratę ze ślubnego prezentu.

Nie przypuszczała wówczas, że.... wkrótce zostawi w Olkienikach cały swój dobytek.

We wrześniu 1939 roku ledwo uszła z Olkienik, ale wileńszczyzny nie rzuciła, została dzielnym członkiem Polski Podziemnej.

To... zdarzyło się tylko raz.

W siódmym dniu ćwiczeń trwających bez przerwy w dzień i w nocy - byliśmy już dobrze zmęczeni.

Według założenia, ćwiczenia te miały trwać właśnie 7 dni, dlatego w dniu siódmym niecierpliwie oczekiwaliśmy miłego sygnału „odtrąbiono".

Około godziny 9ej... nareszcie... trębacze pułkowi sygnał ten zagrali.

– Szwadron... stój! - z koni! popuścić popręgi... wolno palić!

Nadszedł rozkaz:- oficerowie na odprawę do wsi Y, a szwadrony - karmić konie.

Odprawa i omówienie ćwiczeń trwały do 15ej. Następne ćwiczenia miały się rozpocząć po czterech dniach, a zatem cztery dni odpoczynku na białoruskiej wsi.

Lubię białoruską wieś z jej ładnym krajobrazem, z chatkami krytymi słomą, wrośniętymi w teren, i z jej ludnością, która mówiła o sobie:- „my tutejsi," co w ich pojęciu równało się

narodowości.

Tym razem przypadła, jako kwatery mego szwadronu - zamożna, duża wieś.

Jak zwykle wysłani uprzednio kwatermistrzowi oczekiwali w wyznaczonej wsi na przybycie szwadronu.

Podoficer, - dowódca kwatermistrzowskich spotkał szwadron przy wjeździe do wsi, złożył raport:-

- Panie Rotmistrzu! melduję posłusznie kwatery dla koni i ułanów dobre, dla pana rotmistrza kwatera u... popa*

Przy ostatnich słowach meldunku - podoficer zrobił zadowoloną minę.

- Szlak by cię trafił! - do popa mnie wsadziłeś?... a jak każe mi on do mszy w cerkwi służyć?...

Podoficer uśmiechnął się i powiedział:-

- Zobaczy pan rotmistrz, że kwatera doskonała!

Miał rację. Pop - zupełnie młody człowiek, inteligentny, wykształcony i bardzo miły.

Obojś z żoną, również młodą i miłą

* pop - ksiądz prawosławny

pani, bardzo gościnnie spotkali mnie na ganku swego, bardzo przyzwoitego i dużego domu. Odstąpili mnie duży, ładnie umeblowany i doskonale utrzymany pokój.

Zauważyłem, że oprócz gospodarzy kręci się po domu kilku domowników, a może gości?

Gosp, jak pamiętam nazywał się „Gawriił Michajłowicz" - serdecznie zaprosił na kolację.

Po doprowadzeniu siebie do porządku - zapukałem do saloniku.

Zastałem tam liczne towarzystwo - kilka pań i panów. Byli to krewni i znajomi gospodarzy, którzy spędzali tu wakacje.

Po chwili zaczęli się zjawiać moi subalterni, - niby służbowo (nos mieli doskonały) i oczywiście również zostali zaproszeni na kolację.

Mili gospodarze i ich domownicy stworzyli doskonałą atmosferę, a że i stół zastawiony był obficie i silnie „wzmocniony" - czysta „białogłówką (światowej sławy wódka polska) - czuliśmy się wyśmienicie.

Naprawdę - z całą przyjemnością muszę

stwierdzić, że tak przyjemnego „popa" i jego rodziny - ani przed tem, ani później - nie spotykałem.

Po kolacji - były śpiewy (oczywiście) polskich, rosyjskich i białoruskich piosenek, no i potańcówka.

Gospodarzom i gościom przypadła również do gustu nasza brać ułańska, tak że przez trzy dni, co wieczór bawiliśmy się doskonale - w tym miłym i gościnnym domu.

Jaki jednak człowiek... „słaby"... przypadła mi bardzo do gustu siostrzenica pani domu... przemiła i śliczna Nadieńka...

Ciednie śpiewała rosyjskie piosenki... budziła... „serce kozackie"... zasypiałem i słyszałem jak dla mnie śpiewała ...

„stiep, da stiep krugom"ˣ

Wrzesień 1939 roku - rozdzielił nas na zawsze... co się z Nią stało?

Odpoczynek manewrowy dobiegał końca, ostatni dzień odpoczynku przypadł na niedzielę,

ˣ step i step - dookoła.

w poniedziałek o 4 rano rozpoczynały się kilkadniowe manewry ruchome.

Według otrzymanego rozkazu miałem stawić się ze szwadronem na godzinę 3 a na skrzyżowaniu dróg w miejscowości X.

Do trzeciej rano dnia następnego jeszcze daleko, trzeba pożegnać gościnny dom popa - postanowiliśmy wydać pożegnalną kolację.
Zajęli się tym dwaj koledzy - oficerowie rezerwy przy pomocy domowników.
Kolacja wypadła doskonale - trwała do 2 ej

Wprost od stołu - serdecznie i z „łezką" w oku żegnani - siedliśmy - na koń.

Na wyznaczony punkt do wioski X przybyłem 15 m. przed czasem.

Przez punkt ten przechodziły już inne szwadrony i kompanie piechoty.

Oficer regulujący ruchem oddziałów kazał mi czekać, aż da rozkaz dalszego marszu.

Czoło mego szwadronu weszło do pierwszych zabudowań wsi, - spieszyłem[x]

[x] spieszyłem = zsadziłem z koni.

szwadron, a sam usiadłem na
żerdziach płotu i zapaliłem papierosa.
Trochę myślałem o Nadiuńce,
trochę walczyłem z nadmiarem „biało-
główki" - tej najlepszej - polskiej...
Za płotem - jak na złość, zobaczyłem
nawias od stodoły, a w nim... siano..
nie wytrzymałem... położyłem się...
tak... tylko na chwilkę...
Tego momentu nikt nie widział,
nawet mój luzak, gdyż o tej godzinie -
w końcu sierpnia - jeszcze ciemno.
„To zdarzyło się... tylko raz... zasnąłem.
- No! gdzie wreszcie jest dowódca
szwadronu?
Jak wyrwany wybuchem bomby -
poderwałem się z siana.... za płotem,
na tym że miejscu stoi mój szwadron i
... tuż koło płotu... dowódca brygady
(na czas ćwiczeń - normalnie inspektor
płn. grupy kawalerii K.O.P) pułkow-
nik Kopeć.. w otoczeniu moich ofi-
cerów. Pułkownik dobrze znał mnie

bardzo wysoko opiniować, bardzo mnie lubić,... wolałbym by świat w tej chwili przewrócił się do góry nogami,.. i ja razem z nim..

— Jestem! panie pułkowniku!

Popatrzył na mnie ze zdumieniem....

powiedziałem Mu prawdę.

— To się zdarzyło Tobie... tylko raz, — powiedział dość surowo

— Twój szwadron idzie jako podjazd w kierunku X.

Po otrzymaniu szczegółowego rozkazu — ruszyłem wykonywać zadanie, a głowa pracowała podwójnie, — raz nad zadaniem, drugi raz nad tym — jakto to się stało, że zasnąłem, skąd się wziął pułkownik Kopeć!!

Wyjaśniły kulisy.

W pół godziny po naszym przybyciu - oficer regulujący ruchem oddziałów nakazał marsz naszego szwadronu. Oczywiście szwadron nie mógł ruszyć, gdyż nie było dowódcy szwadronu.

Nikt nie wiedział gdzie się podziałem – opóźnienie stawało się poważne.
W tym czasie nadjechał samochodem dowódca Brygady płk. Kopeć, ... zdziwił się ogromnie, że szwadron jeszcze na punkcie wyjściowym. Koledzy byli w kłopocie, nie wiedzieli co zameldować pułkownikowi – w tym czasie sam się obudziłem.

Pomimo skupienia, jakiego wymagało dowodzenie szwadronem i oszołomienia nad przykrym wypadkiem zaśnięcia, jeszcze jedna uporczywa myśl nie dawała spokoju, ... Nadieńka.

Stało się ze mną tak, jak jakiemuś ułanowi rosyjskiemu, o którym piosnka mówi tak:

„Кавалеристом я рожден
И прежде пожили в купели,
В уланском кивере рожден
И запеленал был в шинели.
Когда впервые на меня
Вы так приветливо взглянули

Вы точно взяли в шенкеля
И в сердце шпоры мне воткнули.
Вы омунштучили меня,
Походным вьюком оседлали
И как ремонтного коня
К себе на корду привязали.

С тех пор повсюду слышу голос Ваш,
Его в команде различаю
И вместо – „рысью марш!
Я Ваше имя повторяю.“

W przekładzie nierymowanym treść tej piosenki taka:

„Urodziłem się kawalerzystą i przed chwilą w kołysce, zostałem ochrzczony w czaku ułańskim i zawinięty w płaszcz kawaleryjski

Gdy po raz pierwszy pani na mnie łaskawie popatrzyła, to jakby, jak koń ściśnięty zostałem w łydkach, a w serce wetknięto mi ostrogi:

Założyła mi pani munsztuk, osiodłała siodłem bojowym i jak młodego konia uwiązała na

na łąkę.

Od tej chwili wszędzie słyszę głos pani, wyczuwam go w komendach, a ja zamiast podawać komendy – imię pani powtarzam."

Tak właśnie wówczas było i ze mną – zamiast wydawać rozkazy – chciało mi się powtarzać „... Nadieńka, moja Nadieńka!

Po zakończeniu ćwiczeń, podczas omówienia których zostałem wyróżniony za dobre dowodzenie.

Kobieta, i to ładna – nie przeszkodzi ułanowi w boju!

Podczas wspólnego obiadu podszedł do mnie płk. Kopeć (z powodu małego wzrostu którego, a żywy temperament – nazywaliśmy go „małym ogniem" lub „Wołodyjowski")

– No chodź się ze mną napić sznapsa, ale... pamiętaj!... to się stało tylko raz!

Nie czekałem końca obiadu – pomknąłem do Wilna,. tam czekała.... Nadieńka!

Rozdział ostatni.

Kampania wrześniowa 1939 r.

Ostatnia Rapsodia Ułańska.

Jestem dumny, że dane mi było służyć w Sławnej Kawalerii Polskiej.

Swoją służbę ułańską zakończyłem jako Kawaler Orderu Wojennego „Virtuti Militari" 5 kl. w dniu 6 października 1939 r.

W dniu tym i Kawaleria Polska zakończyła sławną tysiącletnią służbę dla chwały Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

ppłk. J. Stel

Wypadki na arenie międzynarodowej, a szczególnie w Niemczech – na wiosnę 1939 roku niepokoiły i wyraźnie wskazywały, że ... coś musi się stać.

Czułem, i rozumiałem, że nie dziś, to jutro będę musiał pożegnać Dworzec Radniczy z Mokrzanką, Czołkę O. Wackowa z Karnikiem i innych.

Nie przypuszczałem jednak, że będę musiał drugi raz w życiu pożegnać, ... na zawsze, tak jak w 1917 roku ziemię, którą ukochałem, ludzi, których lubiłem i szanowałem, że będę musiał .... ???... zdjąć mundur ułański.

a szablę „kubankę" - zawiesić na ścianie ... jako symbol ... kubańsko-ułańskiej służby.

Pomimo nerwowego stanu, jaki panował w całym Kraju i pewnych poczynań wojennych w wojsku - zawody konne „Militari W.P." odbyły się jak ~~zwykle~~ w lipcu 1939 w Bydgoszczy.

Niestety, pierwszy raz po tylu latach nie brałem w nich udziału jako zawodnik, gdyż w dniu 15 lipca podczas upadku konia na przeszkodzie, w ostatnim dniu treningu - złamałem nogę /lewa - złamanie w kostce/.

Na zawody „Militari" jednak przyjechałem jako „kibic", mogłem bowiem pomału chodzić dzięki założeniu na nogę w Szpitalu Wojskowym w Wilnie - gipsu tzw. „marszowego", a oprócz tego laski dały należyte podparcie.

Nastrój jaki panował śród oficerów, którzy zjechali się tu z całej Polski i przywiezione „tajne wiadomości" - napawały pewnością, że ... nie dziś, to jutro ... wojna.

Ja, byłem szczególnie przejęty, a to dlatego, że według założeń „Mob." mój szwadron miał się rozwinąć w oddział specjalny, w tym czasie „modny" – przeznaczony do służby w dywizji piechoty – oddziały te nazwano „Kawaleria Dywizyjna", w skrócie „K.D".

Nie lubiłem współpracy z piechotą, oprócz współpracy z piechotą K.O.P. z którą współdziałanie układało się doskonale.
Wolałem być w składzie pułku i brygady kawalerii, ale trudno, planu „Mob." nie zmienię.

Tradycyjny raut po „Militari" w tym roku nie odbył się – nadszedł rozkaz z Min. Spraw Wojskowych, by oficerowie biorący udział w zawodach – jak najprędzej wracali do swoich garnizonów.

Wracałem do domu pod wrażeniem, że... już jutro... wojna. Ale jak ja... będę wojował? Noga w gipsie!

Ale jakoś już „jutro" wojna nie wybuchła – może jakoś to wszystko się ułoży?

Optymizmu jednak, jaki panował śród

znajomych - nie podzielałem.
Byłem przekonany, że Hitler dąży do utopijnych, ale jak Niemcom się zdawało „wielkich celów", do których droga dąży przez podboje.

Chociaż byłem „obstrzelanym" starym żołnierzem frontowym z wojny 1918-1920, przyznać muszę, że ewentualną wojną z okrutnymi Niemcami zachwycony nie byłem.
Nie bardzo wierzyłem również w pomoc sprzymierzeńców - Anglii i Francji, a własne siły? przy nieobjętych otwartych granicach?...

Wierzyłem i wierzę w moc naszego wojska, ale prosty rachunek porównania sił, przy fatalnym położeniu geograficznym - napawał jakimś nie miłym uczuciem.

Nie znaczy to, że stchórzyłem, ale wiedziałem, że czeka nas ciężka walka. Nie przewidywałem oczywiście tego co się stało - było to więcej niż straszne.

Moja noga zrastała się szybko, tak że już 2-go sierpnia zdjęto mi gips, ale buta jeszcze włożyć nie mogłem, musiałem na lewą nogę na-

kładać kalosz.

Wieczór z dnia 22/23 sierpnia był wyjątkowo piękny, długo zabawiłem w szwadronie, (w tym roku na manewry wojska nie wyszły) chodziłem po stajniach, rozmawiałem z podoficerami; .... wdychałem cudny aromat Puszczy Rudnickiej i wsłuchiwałem się w poszum tego pięknego magazynu leśnego.

Przyszedłem do domu. Żona moja i córka, jak zawsze powitały mnie pogodnie i serdecznie, a ja?... czułem się jakoś... podniecony.

Poszedłem spać późno, - spałem, ale jakoś inaczej niż jak zwykle - beztrosko - jak zając pod miedzą.

Nie wiem, czy obudziłem się, czy jeszcze nie spałem, ... słyszę szybkie kroki - prawie bieg człowieka przez kładkę na dopływie Mereczanki, która łączy koszary z moim domem.

I znów jakieś niezwykłe uczucie, aż serce zabiło mocniej....

Za chwilę mam pukanie do okna i głos podoficera służbowego szwadronu: -

– Panie Rotmistrzu! rozkaz z Brygady!
Zerwałem się, otworzyłem okno.
Podoficer podał mi zalakowaną kopertę – instynktownie popatrzyłem na zegarek – godzina 2<u>35</u> otworzyłem kopertę, czytam:

„Dnia 23. VIII. 1939 r. godzina Mob. – 5°ta."

To wszystko. Reszta w elaboracie Mob. w szafie pancernej w kancelarii szwadronu.

– No... początek już jest! jaki będzie koniec? – pomyślałem, na inne rozmyślanie teraz już nie było czasu.

Rozpoczęła się piekielna praca mobilizacyjna, poczęli napływać rezerwiści, pobór koni, wozów, nadeszły uzupełnienia broni, umundurowanie, sprzętu i t. d.

Muszę z przyjemnością stwierdzić, że akcja mobilizacji przebiegała bardzo sprawnie.

Zdarzały się drobne nieprzyjemne wypadki, jak np. jakiś chłop zdający na „Mob." wóz – dał dwa koła w bardzo złym stanie, albo dwóch czy trzech rezerwistów przybyło w stanie nietrzeźwym, ale ogólnie wszystko przebiegało bardzo sprawnie.

Była to jeszcze cicha mobilizacja poszczególnych jednostek.

Jako naoczny świadek odpowiedzialny za mobilizację Szwadronu - z czystym sumieniem stwierdzam, że organa administracyjne i wszyscy obywatele związani z mobilizacją tak czy inaczej - obowiązek swój wykonali na „bardzo dobrze".

Moment ten podkreślam specjalnie, aby słowy dowodem, że organa administracji państwowej i wojskowej umiały pracować, a chaos powszechnej mobilizacji stworzyły warunki napadu ogromnych sił lądowych i powietrznych armady hitlerowskiej.

W dniu 25 sierpnia 1939 r. akcja „Mob." dla Szwadronu Kawalerii K.O.P. Olkieniki została ukończona, a Szwadron przekształcił się w Kawalerię Dywizyjną.

W pełnej gotowości bojowej stanęły:

jeden szwadron liniowy - ~~12 c.k.m. ok. 120 koni~~

cztery plutony i 26 około 120 koni

jeden szwadron C.K.M. - 12 kar. = ok. 140 kaw. - przed dowódcy, pluton łączności, taborzy.

W dniu tym odbyto pierwszą zbiórkę nowoutworzonej „K.D."

Dnia 27 sierpnia 1939 roku w ciemnym świtaniu nadszedł rozkaz załadowania naszej „K.D." do pociągu na stacji Olkieniki.

Dnia tego opuściłem zagrzane i umiłowane gniazdo, gdzie zostawiłem: żonę, córkę, oraz ludzi miłych sercu, miłą sercu Ziemię Wileńską, ... i jak kiedyś, ... na zawsze.

Rodzinę pożegnałem krótko:

— Bądźcie zdrowi ....!

Pamiętam, ... córka moja Haneczka dopędziła mnie na owej kładce na dopływie Mereczanki-

— Poczekaj!... włóż ten krzyżyk, on cię uchroni!

Nałożyłem krzyżyk i bez słowa poszedłem do Szwadronu.

Haneczki już więcej nie zobaczyłem nigdy.

1150 ~~794~~

za udział w pracy podziemnej została w bestjalski sposób zamordowana w roku 1942 przez Gestapo w szpitalu w Wilnie - pochowana w Wilnie na cmentarzu na Antokolu.

Krzyżyk, który dała mi Hanečka --- uchronił mnie, mam Go po dzień dzisiejszy.

O godzinie 14ej nasza K.D. została załadowana, o 14 z minutami pociąg ruszył... w nieznane.

W dniu 28 sierpnia 1939r. na jakiejś stacji około Ostrołęki otrzymaliśmy rozkaz wyładowania, oraz przydział jako „K.D." 33ej Dywizji Piechoty, a także przemarszu do rejonu wsi - zdaje się Kruchowo w pobliżu granicy pruskiej.

Maszerowaliśmy przez wsie polskie, ciche, pracowite, ... takie bliskie sercu.

Starsi przeprowadzali nas z głębokim smutkiem w oczach, chłopi zdejmowali nakrycie głowy, kobiety żegnały, ... - niech was Bóg prowadzi, a dzieciaki hurmem biegły za nami; ...

- patrz, patrz!.. ułani;.. na „niemca" - idą!
Biedny Ludu Polski!... co? i wiele? Ty wycierpiałeś!

Przed wieczorem dnia 30 sierpnia 1939 roku osiągnęliśmy nakazany rejon.

W dniu 31. sierpnia 1939 r. przyjechał do nas dowódca 33 D.P. pułkownik Dzierżanowski, dokonał pobieżnego przeglądu „K.B." i zapoznał kadrę oficerską. Narazie żadnych rozkazów nie otrzymaliśmy. Oderwani od normalnego życia mało wiedzieliśmy co dzieje się w świecie, ale i to co do nas dochodziło, przekonało nas, że tym razem nie wyszliśmy na manewry.

Zachowując „O.P.L." staneliśmy biwakiem w lesie. Wieczorem tego dnia poraz ostatni zjedliśmy na biwaku „pokojową" sutą kolację z naszych kuchen polowych i z zapasów jeszcze „z domu".

Zadowolniony byłem z przybyłych oficerów rezerwy, znałem ich jeszcze z czasów ćwiczeń dla oficerów rezerwy byli już doświadczeni w swej pracy, a teraz w ciągu

tych kilku dni zżyliśmy się doskonale.

Z dumą chcę stwierdzić, że w akcjach bojowych we wrześniu okazali się doskonałymi bojowymi oficerami Polskiej Kawalerii

Długo gawędziliśmy tej nocy leżąc na wspólnym posłaniu ze słomy w zaciszu spokojnego polskiego lasu, ... patrzyłem na śpiących ułanów i chrupiących siano koni. ... co ich czeka?.. być może,... już jutro, ... usnąłem.

Nad ranem,.. dnia 1go września 1939 r. obudził mnie ... jakiś głuchy, narastający, nieznany huk. Podniosłem się na posłaniu, nasłuchuję,... obudził się też cały biwak... ożyło.. . . –

Konie nastawiły uszy, ułani podnieśli się z legowisk, a huk, jakby głuche i ciągłe grzmoty,.. narastał,.. zbliżał się – przetaczał się nad nami.

Zrozumieliśmy. Samoloty!... czyje? Lecą od strony pruskiej granicy,... znaczy.. niemieckie.

I daremnie... zamiast gniew.....

Lecą... by bombardować nasz kraj, śpiących spokojnie... dzieci, ich rodziców, młodych, starych, żołnierzy i osoby cywilne, lecą jak złoczyńcy,... bez wypowiedzenia wojny?... nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas do czego były zdolne Niemcy hitlerowskie.

Teraz już nie było żadnych „ale?", czy „może"- zapomnieliśmy o wszystkim, opanowała jedna chęć,... bić najeźdźców!

Około godziny 10ej przyjechał dowódca dywizji.

- Panowie!... Niemcy bombardowali Warszawę i inne miasta, - niemieckie wojska lądowe przekroczyły granicę Polski, walki już trwają!

Dowódca dywizji podał kryptonim naszej 33 DP. i wydał rozkaz bojowy.

Od tej pory nasza 33 DP. nazywa się „Lampart".

Otrzymaliśmy dość trudne zadanie, do wykonania którego trzeba było wydzielić naszą KD. na dwie Grupy.

Ja z większą częścią „KD" jako pojazd otrzy-

natem zadanie rozpoznanie na Myszyniec i dalej, aż do miejscowości X położonej w Prusach.

Skład podjazdu.

poczet, szwadron liniowy bez jednego plutonu i 2 plutony C.K.M.

Zapomniałem już o wypełnieniu kategoriami pokojowymi, ożywił się duch starego „Jawokupna"... a może uda się .... szarża ułańska?

Jak by nie było 19 lat przerwy w wojowaniu, a to... dalszy ciąg, ... zakipiała krew ułańska.

– Dywizjon przygotować się do marszu!! – panowie oficerowie – do mnie!

Stanęli – surowi i stanowczy.

– Panowie! nasz podjazd rozpoznaje po osi X na Myszyniec, szybkość marszu 9 km/godz. Patrole – wyznaczyłem dowódców, skład i zadania, oraz marszruty.

Ubezpieczenie ostoja – pluton ppor. Mormana! Wykonać!

Prawie dwieście par oczu, .. wiernych ułańskich oczu - w tym lesie złożyło przysięgę - nie zawiedziemy!

Może już za chwilę? ... któryś z nich ....?

Ruszyłem galopem na swoje miejsce, na czoło podjazdu.

Znów ciężkie myśli tłoczyły się po głowie, przecież już prawie dwadzieścia lat po tamtej wojnie, - odwykłem od prawdziwych walk, a tu? ... może już za chwilę będę walczył z doskonale uzbrojonym i wyszkolonym wrogiem, no i wówczas dowodziłem plutonem, a dziś .... dywizjonem!

Zacięcie ułańskie opanowywało myśli - a może jednak uda się ... szarża?

Byłem pewien, że do tego nie dojdzie - na drogi przecież szarżować nie będę, ... to wiedziałem napewno.

A ... jednak!

Po rozpoznaniu rejonu Myszyńca i

wysłaniu meldunku do sztabu dywizji, że npla nie spotkałem, ruszyłem dalej, teraz już na .... Prusy Wschodnie, czy i tu nie spotkam Niemców?

Czoło podjazdu weszło do dość dużego zagajnika, wyjaśnić się (z mapy), że za zagajnikiem rozciągają się pola, i dość duża wieś polska (jeszcze jesteśmy na ziemi polskiej) — do granicy jeszcze kilka kilometrów.

Naraz cicho. Pluton ppor. Mormana, który dalej idzie jako pluton szpicy pewnie dochodzi już do owej wsi.

W tej chwili usłyszałem tętent galopu konia od czoła tzn. od szpicy Mormana, a po chwili wyłonił się z zakrętu galopujący ułan.

Galopował w moim kierunku i przeraźliwie wołał głosem:

— Goniec do dowódcy! goniec do dowódcy!

– Dawaj tutaj!

Goniec przepisowo objechał mnie, zajechał od strony lewej i zameldował:

– Za zagajnikiem, we wsi X Niemcy! – kawaleria! i oddał pisemny meldunek ppor. Mormana.

Poczułem dreszczyk bojowy i zdumienie – tu w Polsce już Niemcy? – czytam meldunek.

„Godz. 13⁵⁰. Zagajnik przed wsią X kota Y. We wsi X widzę kawalerię niemiecką, spieszeni – oceniam na siłę szwadronu.

Udajam w szyku konnym.

1. IX 39 H. Mormann ppor."

Zdębiałem, – będzie szarżował... na wieś? i na oddział spieszony?..

Podałem znak dla podjazdu – kłusem!

Sam z pocztem pogalopowałem na skraj zagajnika.

Po osiągnięciu skraju zagajnika zatrzymałem się, ... i teraz ze zdumieniem i radością... zdębiałem po raz drugi.

Morman, ... ze swoim plutonem był już we wsi będąc w szyku konnym ... i rąbał zaskoczonych, biegających w popłochu Niemców — jak „kapustę."

Teraz trzeba Mormanowi pomóc, było nie za późno. Zawróciłem konia, z ulgą odetchnąłem, nadchodził mój podjazd — pierwsze dwójki wytamowały się z zagajnika.

Błyskawiczny znak — „dowódcy plutonów do mnie!" przygalopowali, — krótki rozkaz:

— C.K.M'y w lewo! — stanowiska wskazałem ręką,

— pluton Butwiłowskiego w lewo od drogi;

— pluton Borkowskiego wzdłuż drogi —

natarcie na wieś w szyku konnym harcowkami — szable w dłoń! galopem marsz, marsz!

Ruszyli jak huragan, hurraa!!

Plutony dopadły wsi, ... ale już na „podzwonne" — ułani Mormana sami dokonali dzieła.

Moje plutony „dorąbywały" oszołomionych,

a C.K.M'y dobrze przetrzebiły uciekających.

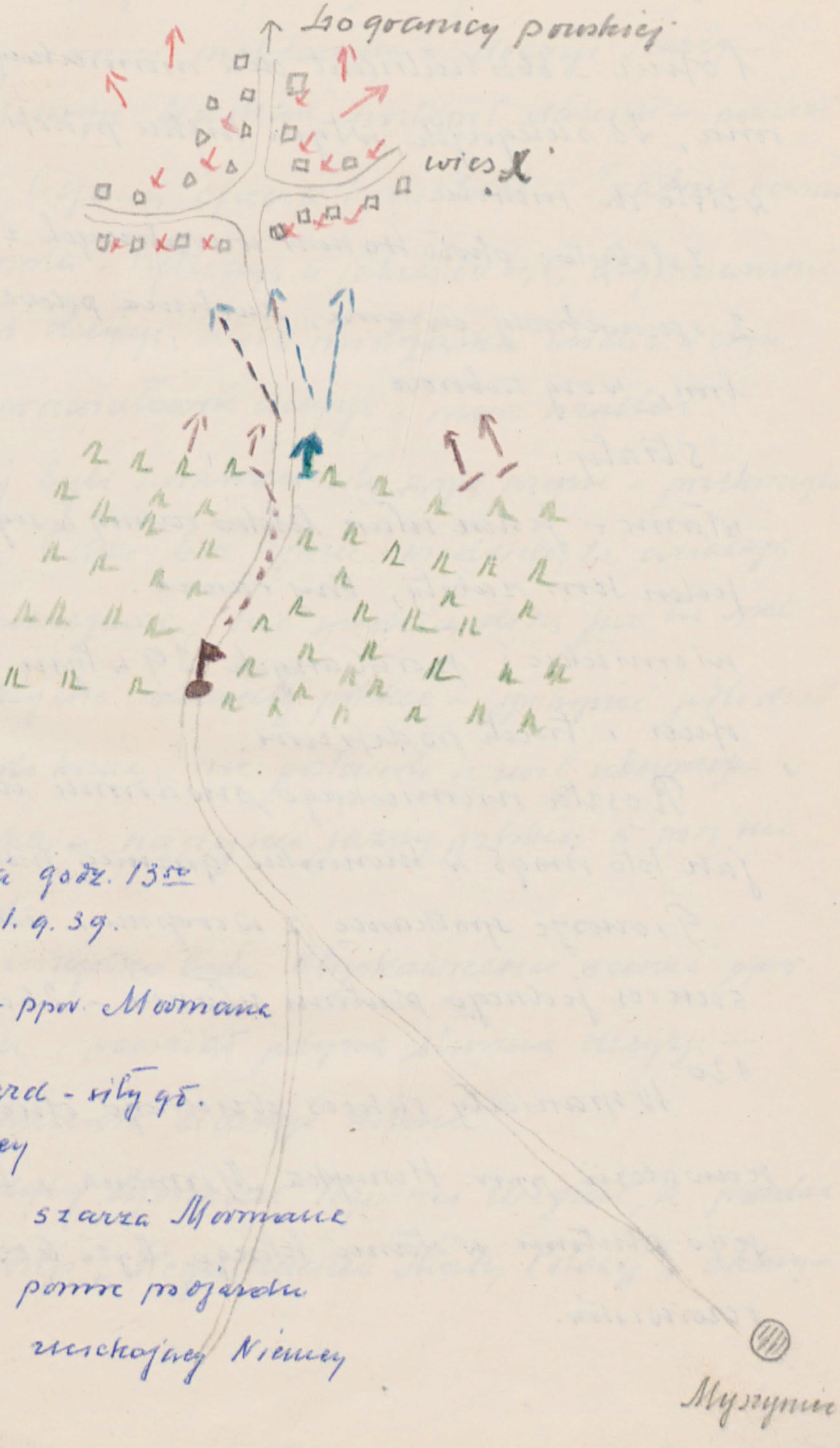

Sytuacja godz. 13⁵⁰
dnia 1.9.39.

Szpica ppor. Mormana

Podjazd - siły gr.

Niemcy

szarża Mormana

pościg podjazdu

uciekający Niemcy

Rezultat

1 oficer - oberleutnant dca niemieckiego szwadronu, 28 szeregowych, w tym kilku podoficerów wzięto do niewoli.

Zdobyto: około 40 koni wierzchowych z rzędem, 2 samochody ciężarowe, kuchnia polowa, broń, wozy taborowe.

Straty:

własne - jeden ułan lekko ranny w szyję, jeden koń zabity, trzy ranne.

niemieckie: porąbanych 29 w tym jeden oficer i trzech podoficerów.

Reszta niemieckiego szwadronu uciekła jak kto mógł w kierunku granicy niemieckiej.

Pierwsze spotkanie z wrogiem i sukces, - sukces jednego plutonu ułanów - 26-ciu na 120.

Wspaniały sukces dzielnego oficera rez. kawalerii ppor. Henryka Mormana i Ułanów jego plutonu w stanie którego było 60% rezerwistów.

Wbrew ogólnemu przerażeniu jakie mnie opanowało po otrzymaniu meldunku o decyzji szarży – ppor. Henryk Morman postąpił właściwie – pokazał sztukę bojową oficera kawalerii. Trafnie bowiem ocenił pole i sytuację w jakiej on był, błyskawicznie powziął decyzję, którą mistrzowsko wcielił w czyn.

Za prawidłowość decyzji – mówi rezultat. Niemcy byli świadomi siły swojej armii – przekroczyli granicę Polski bez oporu, wiedzieli, że działają przez zaskoczenie, nie spodziewali się już tu spotkać aktywne oddziały polskie – spokojnie jedli obiad i karmili konie, nie postawili nawet ubezpieczeń w zagajniku – nadejścia jazdy polskiej w porę nie spostrzegli.

To wszystko ~~było~~ błyskawicznie ocenił ppor. Morman i powziął jedyną słuszną decyzję – natychmiast uderzyć konno.

Gdyby Morman tego nie uczynił, a poddał się sugestji „Regulaminu Służby Polowej", zatrzy-

~~206~~ miał w zagajniku swój pluton i posłał niektórych do mnie, nikt do niego nie miałby pretensji, ale Niemcy napewno zauważyliby ruch mojego podjazdu i wówczas przygotowaliby się do obrony — pozycja we wsi niedo-stępna.

W takiej sytuacji ja z podjazdem musiałbym podjąć walkę natarciem pieszo. Nie wątpię w sukces, ale poniósłbym straty, a Niemcom zadałbym ich mniej; a tak: — bez strat, wspaniały sukces.

Z wielkim szacunkiem i serdecznie ucałowałem tego „Wilniaka", teraz dzielnego dowódcę plutonu ułanów.

Jak mogłem uroczyście w tych warunkach udzieliłem dzielnemu Plutonowi i jego dowódcy pochwały.

Nigdy nie zapomnę widoku tych Ułanów, ich dumy i ich pewności siebie. Jeden wycierał zbroczoną plugawą hitlerowską krwią szablę,

inny rzucił na ziemię naramiennik niemieckiego wachmistrza.

Nie zapomnę nigdy postaci ppor. Mormacka – siedział już na koniu, a na prawym jego oku zwisała na temblaku obnażona szabla cała zaber-wiona „brunatną cieczą".

– Marsz! wytrzyj! zdjął szablę z ręki, oddał luzakowi.

Z zachwytem i zazdrością patrzyłem na tego dzielnego młodego oficera, a on stał skromny z jego miłym uśmiechem na ładnej twarzy – zasalutował i zapytał:

– Można palić, panie Rotmistrzu!

Ten, który ~~tego~~ kilka minut temu jak lew rzucał się na nieprzyjaciela i rąbał go – teraz przed swoim dowódcą stoi skromny jak grzeczny student.

– „ Będzie wolno palić! Panie Rotmistrzu!

Wolno! wolno! drogi Chłopcze, ale dlaczego nie

164

~~808~~ wolno Ci było żyć?! x

Jeńców odesłałem pod konwojem na tyły.

Zdobyte konie na moje gorsze pochodzące z mobilizacji, a wyeliminowane oddałem chłopom tej wsi. i ruszyłem wykonywać zadanie.

Teraz już mogę spotkać wroga w każdej chwili – czy dojdę do granicy pruskiej?

Moje rozmyślania zostały przerwane – od tyłu po kolumnie podano. – „zatrzymać się, rozkaz od dowódcy dywizji"!

Stanąłem. Po chwili podjechał samochodem oficer łącznikowy dywizji i przekazał ustny rozkaz.

„poprzedni rozkaz – odwołany, powracać do wsi X na rzece Omulew, na odcinku X–Y zająć obronę przepraw!

Nie zastanawiałem się nad nowym rozkazem – natychmiast go wykonałem – spokojnie wracałem do nakazanej wsi.

x ppor. Henryk Merman zmarł kilka lat temu na emigracji.

Po drodze oczywiście dzieliliśmy się wraże-niami z pierwszego spotkania z wrogiem, z pierw-szego wspaniałego ułańskiego w każdym słowa tego znaczeniu sukcesu.

Nasi niewątpliwie bohaterowie dnia - ppor. Norman i jego ułani byli nadspodziewanie skromni, ale z oczu ich biła duma i pewność siebie

Dopędziliśmy prowadzonych jeńców, szli jak baranki, pokorni i speszeni.

Po osiągnięciu nakazanej wsi i obsadzeniu przepraw przez rzekę Omulew miałem czas na badanie jeńców - szczególnie oficera.

Do chaty chłopskiej, która przypadła mi jako kwatera, kazałem przyprowadzić oficera jeńca.

Wszedł, nie zasalutował i stanął w postawie swobodnej.

Opanowało mnie jakieś dziwne uczucie, - dumy, samozadowolenia, może trochę i zarozumiało-stał bowiem przede mną autentyczny oficer nie-

niemieckiej kawalerii, bezbronny, zaczerwieniony, przed kilku godzinami dowódca niemieckiego szwadronu, który szedł na podbój Polski.

Ale postawa tego oficera już mnie rozgniewała, stał nieruchomo.

– Jestem dowódcą jednostki kawalerii polskiej, która rozbiła pański szwadron, czy będzie pan odpowiadał na pytania?

Milczy.

– Jak się pan nazywa? – odpowiedział.
– Jaki stopień wojskowy? – oberleutnant!
stał dalej w postawie dumnej – zgniewało, podniesionym głosem zwróciłem mu uwagę.

– Poruczniku! ja jestem dowódcą oddziału, który pana rozbił i pan jest naszym jeńcem – niech pan zachowuje się jak oficer!

Podziałało, stanął na „baczność” i wyraźnie odpowiedział.

– Jawohl, herr rittmeister!
czy będzie pan odpowiadał na moje pytania?

– Pytania będą dotyczyć pańskiej jednostki wojska niemieckiego!

– Nie!

– To pańskie prawo, ale muszę kazać zrewidować pana – niech pan wyjmie wszystko, co pan ma w kieszeni i przy sobie!

Mój podoficer pilnujący jeńca podał mi odebrany mu wcześniej pistolet, a jeniec wyjmował z kieszeni swoje rzeczy: portfel, portmonetkę, zegarek, kilka listów, dwie tabliczki czekolady, scyzoryk i coś jeszcze drobnego.

Obejrzałem portfel, zawierał on: legitymację oficerską, w której zaznaczona była jednostka „3ci pułk kawalerii", kilka papierowych marek i fotografie.

Gdy wziąłem do ręki fotografię jakiejś „Gretchen" – oczy mego jeńca zabłysnęły jak u wilka.

Oddawałem jeńcowi kolejno jego rzeczy, – teraz patrzył na mnie zdziwiony.

– Zatrzymuję pańską legitymację i pistolet, – reszta to pańskie rzeczy osobiste – proszę!

– Schön dank! herr ritmeister!

Przesłuchanie skończone, umieściłem jeńca pod strażą w sąsiedniej izbie.

Zapadła noc.

Po sprawdzeniu stanowisk obronnych na przeprawach – wróciłem do zajmowanej chaty, gdzie ordynans przygotował kolację.

– Co robi jeniec?

– Siedzi, panie rotmistrzu!

– Czy co jadł?

– Nic, kolacji nie dostał!

Kazałem przynieść kolację – zjadł.

Mój ordynans przygotował mi dobrej herbaty.

– Może pan napije się herbaty – proponuję!

– Tak, bardzo dziękuję!

Zacząłem z Niemcem rozmowę – stał się

teraz grzeczny i uprzejmy.
Powiedział mi, że jest zdziwiony takim go traktowaniem, - że mój stosunek i moich podwładnych do jeńców niemieckich jest nadzwyczajny,... że im oficjalnie podawano zupełnie coś innego i że spodziewał się najgorszego.

Musiałem się z niego śmiać, gdy mówił o swojej klęsce, nie mógł sobie darować, że on, oficer niemiecki,... w pierwszym dniu wojny,... w pierwszej potyczce,... stracił szwadron i sam w niewoli.

W pewnym momencie wstał, stanął na „baczność i zameldował:

– Panie rotmistrzu! proszę pana o łaskę!

Zdumiałem.

– O co panu chodzi?

– Proszę... o zwrot mego pistoletu,... je...

Oczywiście łaski mu nie udzieliłem i pistoletu

mi dałem. Chciał się zastrzelić.

Siedział ponury przez całą noc. Rano przed odesłaniem go do szabu dywizji, zaczął mi dziękować za traktowanie go i jego żołnierzy i w sposób jak najbardziej ogledny powiadomił mi, że nasza pozycja w tej wojnie będzie b. ciężka, gdyż cała potęga niemiecka ze wszystkich stron ruszyła na Polskę i niektóre ich oddziały już naprawdę są głęboko w Polsce.

Nie wierzyłem mu, ale już na drugi dzień wszelkie złego o czym mówił potwierdziło się.

W dniu 2. IX. odesłałem go do sztabu dywizji, a jego żołnierzy na wskazany punkt zbiorczy.

Porucznik jeniec odmeldował się przepisowo i życzył szczęśliwego przetrzymania wojny.

Nadchodziły coraz gorsze wiadomości z

pól walki, z kierunku Przasnysza dochodziły odgłosy artylerii i bombardowań lotniczych, ale my na naszym odcinku jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy z rozmiarów walk i położenia całego Wojska Polskiego.

W dniu 2go września trwaliśmy na tej samej pozycji w obronie przepraw. W ciągu dnia podchodziły silne patrole rozpoznawcze niemieckie, a pod wieczór Niemcy usiłowali opanować przeprawy przez natarcie siłami batalionu.

Natarcie zostało przez nas zatrzymane nawet bez większego wysiłku, - Niemcy wycofali się do zagajnika.

W nocy 2/3 września nadszedł rozkaz wycofania się i przemarszu w rejon Różan.

Pod osłoną nocy, cicho wycofaliśmy się bez przeszkód siedzących w zagajniku Niemców.

Natomiast marsz do rejonu Różan, który trwał przez 2 dni - 3 i 4. IX. był wprost niemożliwy.

Teraz już na własne oczy przekonaliśmy się o rozmiarach walk. Drogi zapchane dosłownie masami ludzi, sprzętu i zwierząt. Oddziały wojskowe pomieszane z uchodźcami cywilnymi, którzy pieszo, wozami, wózkami i innymi środkami lokomocji - gdzieś uparcie dążyli, byle dalej od Niemców.

Lotnictwo niemieckie szalało bezkarnie, a w niektórych punktach były już zagony wojsk niemieckich. Musieliśmy torować drogę walką, prowadzeniu której utrudniały olbrzymie masy uchodźców.

O poruszaniu się drogami głównymi nie było mowy, szliśmy drogami polnymi lub na przełaj.

W czasie tego piekielnego marszu przeplata-

nego potyczkami, mieliśmy dwa ciekawe „incydenty"

W dniu 14 września po południu nasza „KD" wciąga do dużej wsi położonej w pobliżu rzeki Narew.

Patrole nasze przejechały wieś i nic nie stwierdziły.

Ja jechałem na czele szwadronu szpicy - do wymienionej wsi oczywiście wjeżdżałem spokojnie, gdyż i wieś polska i patrole niczego nie stwierdziły.

We wsi cicho, na ulicy i w zagrodach nie widać nikogo.

Gdy większa część „KD" znalazła się we wsi... nagle,... z chat, budynków gospodarczych i zagród zostaliśmy silnie ostrzelani z broni ręcznej.

Napad ten był dla nas dziwnym zaskoczeniem - bo przecież wieś leży w Polsce, patrole nie ujawniły nic, a tu ogień i to jaki?

Natychmiastowa kontr-akcja z naszej strony

wyjaśniła zagadkę - wieś okazała się niemiecka kolonią. Strzelała miejscowa ludność niemiecka i uważyrzyająca się tu V-tą kolumną niemiecką.

Ten incydent był fragmentem pozornym „sroty kampanii wrześniowej 39 r.".

Pod koniec akcji likwidacji tego incydentu patrole własne doniosły, że przeprawę przez rzekę rz. Narew, tę którą mamy przebyć my, zajmuje kompania kolarzy niemieckich.

Po wysłuchaniu meldunku dca K.D. ppłk Stanisław Kowalewski powziął błyskawiczną decyzję:

„Całością K.D. wszystkie pozycje natrzeć na kompanię kolarzy (do przeprawy około 1200 m).

Padły krótkie rozkazy. Ułani rozgrzani walką z V hitlerowską kolumną, rzucili się na przeprawę.

Kompania kolarzy niemieckich zajmująca przeprawę została zaatakowana przez naszą „K.D.",

jak mówią kozacy - „z nalotu".
Po krótkiej walce wręcz (na bagnety) kolarze niemieccy zostali porządnie przetrzepani i bez wzrów przestali wyczytywanie, - aż dziś przyjemnie wspomnieć jak „szkopy" uciekali.

Na domiar złego dla nich, po dorosłej ucieczce zostali zbombardowani przez własnych lotników - i to był ten przyjemny widok.

Byliśmy przekonani, że z tej kompanii mało kto został przy życiu.

Jeszcze nie zdążyliśmy uporządkować naszej K.D, która dopiero zbierała się na „apel bojowy", a zaszedł już nowy ciekawy incydent.

Zgodnie z podziałem funkcji oficerskich w naszej „K.D" na dowódcę koniowodów[x] został na stałe wyznaczony porucznik rez. nazwiskiem Nieczyporowicz.

W czasie likwidowania przez nas wspomnianej V-ej kolumny w niemieckiej kolonii, koniowodzi byli

— " —

x koniowody = ułani, którzy zostają z końmi podczas gdy całość idzie do walki pieszo. Jeden ułan trzyma 3 konie.

tuż za chatami przy nas, a dowódca koniowodów por. Nieczyporuk brał udział w akcji, ale był to wypadek sporadyczny. Normalnie koniowodzi są ukryci i dca koniowodów udziału w akcji nie bierze.

Kiedy „K.D." błyskawicznie ruszyła do natarcia na przeprawę na niemieckich kolanach, rozgrzany walką por. Nieczyporuk pobiegł wraz z nacierającą „K.D." pozostawiając koniowodów bez dowódcy.

Ani rotmistrz Kowalewski, ani ja tego nie zauważyliśmy, sami będąc podnieceni walką, rozpędem natarcia.

Pozbawieni dowódcy koniowodzi stali we wsi czekając na rozkazy. (odległość od nas ok. 1200m).

W tym czasie do miejsca postoju koniowodów i to spieszonych zbliżał się jakiś inny oddział niemiecki. (koniowodzi z powodu trzymanych koni walczyć nie mogą).

Niemcy już byli bardzo blisko, gdy padł energiczny rozkaz:

– „Koniowodni, na mój rozkaz – na koń!

– Za mną... galopem maarrsz!!!
Komendę nad koniowodami objął samorzutnie – luzak rotmistrza Kowalewskiego – st. ułan Lemke służby czynnej – polski Niemiec.

Ku naszemu zdziwieniu ujrzeliśmy galopujących naszych koniowodów, a po zatrzymaniu ich padła komenda „– Baczność" przyjmij meldunek:

– Panie rotmistrzu! st. ułan Lemke melduje posłusznie, ... przyprowadziłem koniowodnych, gdyż na starym miejscu już Niemcy!

I dumnie, szukaliśmy wzrokiem właściwego dowódcy koniowodów, – ppr. Niezapomnianego, ... stał w pobliżu nas z miną „oblanego sztubaka", a w ręku trzymał niemiecki karabin z osadzonym bagnetem.

St. ułan Lemke do końca kampanii dzielnie walczył jak najlepszy ułan polski – został przedstawiony do odznaczenia.

Ruszyliśmy dalej do miejsca nakazanego rozkazem i już przed samym wieczorem spotkał mnie

i mego luzaka paskudny wypadek.
Po ocuceniu i przeprawy jadę dalej na czele szwadronu jako szwadron ostoi „K.D." — przedtem nasze patrole, mijające szosą dużą wieś, ale tym razem naprawdę pełną.

Przy końcu wsi, skręcam w prawo na drogę dalszej marszruty naszej „K.D." — przede mną wąska wiejska droga obsadzona pięknymi topolami, po obu stronach drogi rowy — droga prosta jak strzała aż do znów jakiegoś dopływu rzeki Narew.

Gdy minąłem ostatnie naprzeciw budynki wsi i byłem już na owej wąskiej, prostej drodze, tylko z luzakiem, gdyż cała szwadron jeszcze była za zakrętem — dostałem przekrojny ogień z C.K.M'ów, że tak powiem — prosto w czoło.

Jak to się stało, że ja i mój luzak nie zostaliśmy tam „na zawsze" — nie rozumiem do dziś.

Odruchowo poderwałem wystraszonego konia „Fanatyka" do galopu i skręciłem w lewo - galo-

powałem wzdłuż zabudowań wiejskich – od strony tyłu takowych, gdyż nie miałem gdzie skręcić, a za mną ułan, mój luzak. Staliśmy się doskonałym celem; broń maszynowa niemiecka zachłystywała się.

Z przerażeniem zauważyłem, że na mojej drodze ucieczki od kul niemieckich – rozciągają się zagrody pastwiskowe ogrodzone... kolczastym drutem, ... trzeba je skakać, nie bardzo wysokie, około 1.10 m; ale czy koń je zobaczy? bo to przecież druty!

Mój wspaniały „Fanatyk" zobaczył, ... i skakał jak podczas zawodów. Koń luzaka popisał się nie gorzej od „Fanatyka".

Był to „cross" (bieg na przełaj) jakiego nawet pułkownik Komorowski [x] nie wymyślił na zawodach „Militari" w 1938 r. we Lwowie – bo pod akompaniament muzyki kul niemieckich i przez przeszkody z drutu kolczastego.

I dałem sobie sprawę, że dłużej tak

x Generał Bór

galopował nie wojna, to już staje się „zabawą" ze śmiercią. Rzuciłem okiem w lewo, ... jest! - uliczka do gospodarstwa. Nie skręciłem, a rzuciłem „Fanatyka" w lewo, - przed nami ... brama z desek, dość wysoka, ... jeśli konie jej nie skoczą? ... zostaniemy pod nią ... dosłownie rozstrzelani.

Myśl pokrywała się z szybkością galopu konia - wyprzedziła decyzje koni, ... bez wahania obaj przesadzili bramę.

Zatrzymałem się na podwórku gospodarstwa za domem, ... teraz poczułem uczucie radości uratowania się, ale ja, ułan-lwiak i konie wyglądaliśmy jak po przeprawie wpław przez szeroką rzekę, - nie było na nas suchej nitki, a z koni kapał pot i płatami leciała piana.

Do str ~~8/24~~ 181

Szkic fragmentu „Biegu na przełaj" dn. 4 IX 1939 r.

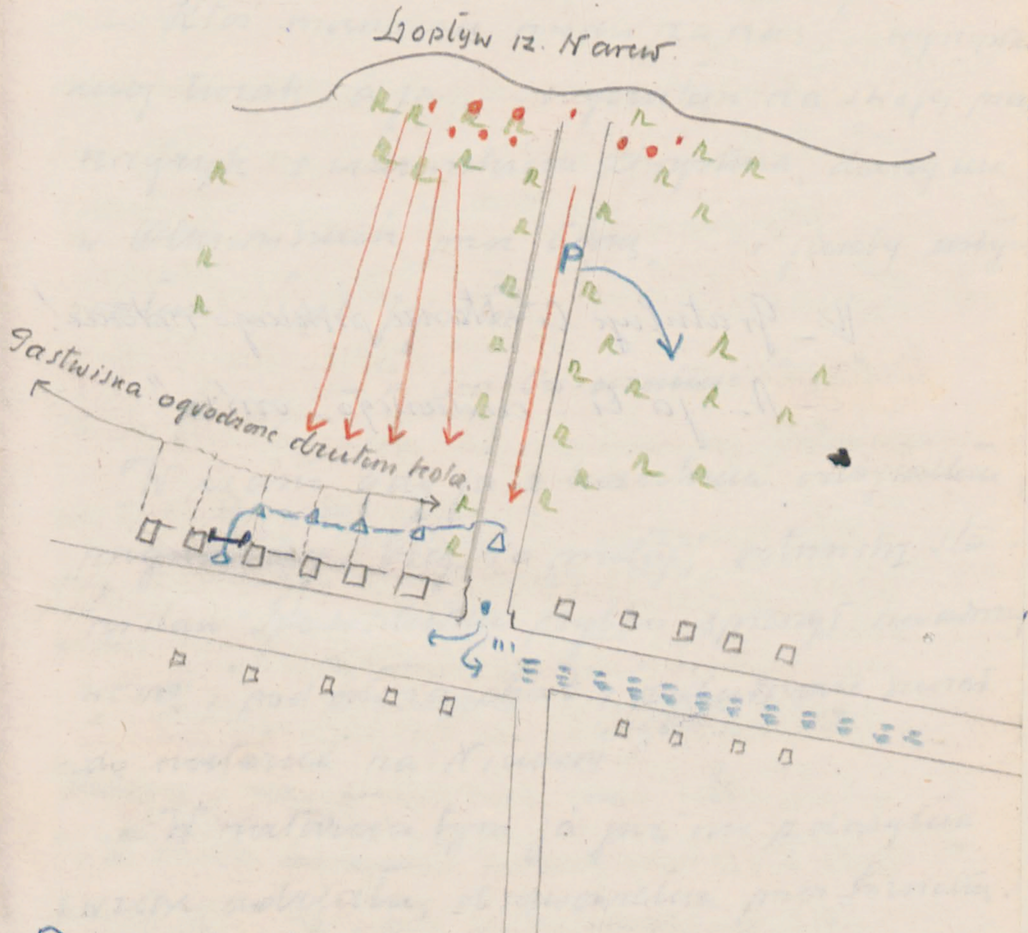

P = mój patrol

≡≡≡ = kolumna K.D.

Δ ja z luzakiem

• mój poczet

Δ--- Δ--- Δ--- Δ = droga mego „Biegu na przełaj"

⟶ = ogień niemieckiej broni maszynowej

⊢ = brama

W_ Gratuluję Ci Stasiu pięknego natarcie!

– A... ja Ci.. cudownego „orośu".

Uwierzyłem w... cuda, gdyż ani ja z ułanem ani konie, ... nie zostaliśmy nawet draśnięci.

– Ktoś mocno się modli za nas!.. wyszeptał mój luzak, a ja ... wyczułem na swojej piersi krzyżyk z wizerunkiem Chrystusa, danym mi w Olszynkach przez Żonę, ... i jakby usłyszałem szept Jej słów:

– „On Cię uratuje."

W czasie, gdy ja z luzakiem odbywałem przymusowy „bieg na przełaj", rotmistrz Stanisław Kowalewski szybko spieszył szwadron we wsi, pod osłoną chat i zabudowań ruszył do natarcia na Niemców.

W natarciu tym ja już nie zdążyłem wziąć udziału, obserwowałem przez lornetkę.

Na widok ten oczy pałały, serce drgało z radości, ... szwadrony po mistrzowsku i z werwą prowadzone przez rotmistrza Stani

184

826 Kowalewskiego nacierały jak na popisie. Oddział niemiecki wycofał się z dużymi stratami.

Podjechałem, do ocalonego odcinka Kowalewskiego: –

– Gratuluję Ci Stasiu, pięknego natarcia!

– A... ja Ci cudownego „biegu na przełaj".

Po tej potyczce ruszyliśmy wykonywać nasze zadanie.

W nocy znów nowy rozkaz – marsz do nowego odcinka koło m. Różan.

Rano dnia 5. IX. 39 zaistniał nowy ciekawy wypadek.

Około godziny dziewiątej znaleźliśmy się w jakiejś kolonii, w której rzadko rozrzucone gospodarstwa nie dawały żadnego schronienia przed lotnikiem.

Dopadła nas grupa – 5 czy 6 samolotów niemieckich, z których jeden latał nad dachami, prawie po głowach i prażył z broni

pokładowej. Nasze C. K.M y robiły co mogły, ale pirat z czarnym krzyżem bezkarnie pastwił się nad nami i nad wszystkim, co znalazło się w zasięgu jego broni pokładowej.

Po pewnym czasie grupa samolotów odleciała, pozostał ów pirat i pastwił się dalej.

Ogarnęła nas złość i bezradność.

W tym widzę jak kapral Kuczyński Stanisław z zaciśniętymi zębami i ogniem w oczach – bierze ciężką broń od st. ułana celowniczego R.K.M., kładzie go na plecy tego starszego ułana (żywa podpórka) i ... czeka.

Mimowolnie najbliżej kryjący się zwrócili na to uwagę, a kapral Kuczyński spokojnie, z zaciętą miną... czeka.

Lotnik zatacza koło, leci teraz wprost na nas, praży ogniem, pikuje, i oto: Kuczyński dał krótką serię, ... jedną, drugą, i... lotnik przestaje

strzelać. stara się podrywać maszynę w górę, ale po chwili samolot jego staje w płomieniach i w odległości 200-300 metrów od nas wbija się w ziemię, ... hurra!

— Masz!, ... sk... synu!, i naprawdę Kaczyński[x] niedbale oddaje R.K.M., zdejmuje hełm i brudną chusteczką wyciera spocone czoło.

Taki obrazek warto było zobaczyć – zdarza się naprawdę rzadko.

W dniu 5.IX.39 trwający bój o m. Różan dochodzi do szczytu.
Nasza K.D. kilkunastu patrolami przeszukiwała brzegi rz. Narwi po obu stronach rzeki Narwi.

Na dzień 6.IX.39 nowy rozkaz: - zająć stanowisko obronne na drodze Różan - Ostrów Mazowiecka w odległości 6-7 km. od Różan.
Przed nami walki w m. Różan i na przeprawach przez rz. Narew.

-"-

[x] kapr. Stanisław Kaczyński doskonały podoficer dzielny bojowy żołnierz.

Nasza K.D. naraziε bez styczności z pułkiem. Skorzystałem z tego i kazałem karmić konie, ułani natomiast korzystali z ofiarnej gościnności mieszkańców pobliskich domostw.

Przypadkowo ktoś z moich ułanów trafił na piekarnię, w której leżały stosy świeżo upieczonego chleba.

Zakupiłem cały wypiek, - jak nam ten chleb smakował?... Byliśmy głodni gdyż tabory nasze zostały gdzieś w tłoku i chaosie mas wojsk i uciekającej ludności cywilnej.

Nasze szwadrony łatwo szły bocznymi drogami i terenem na przełaj, natomiast tabory musiały trzymać się dróg, dlatego ugrzęzły i późnej dołączyły do K.D.

Nasza K.D. rozmieściła się dość wygodnie i dobrze pod względem O.P.Lot.

Leżałem w jakimś ogródku i zajadałem jeszcze ciepły, a jakże smaczny chleb.

Lotnictwo niemieckie, a nieraz i pociski arty-

serii trochę przeszkadzały, ale do tego już byliśmy przyzwyczajeni.

W pobliżu mnie leżała grupka moich ułanów, i też smakowicie i spokojnie zajadali chleb.

W grupie tej był ułan rezerwista - żydek z Olkienik, właściciel niedużej knajpki.

Znałem go doskonale, nieraz chodziliśmy do niego na pyszną „rybkę po żydowsku" - „pejsachówkę".x

Miał on zawsze dla „panów oficerów" osobny czysty pokoik, przyjemnie uśmiechniętą minę i wspomniane smakołyki.

Podczas jednego z momentów nasilenia ognia artylerii i bomb lotniczych, mój „knajpiarz" olkienicki nie wytrzymał, - podczołgał się do mnie i drżącymi ustami wyszeptał:

- Panie Rotmistrzu!... niech pan powie... co to jest,... nas pewno... zabiją?

Chciałem go „ochrzanić", ale gdy ujrzałem jego minę,... roześmiałem się,... chociaż w sytuacji jakiej byliśmy, i mnie... nie bardzo

było do śmiechu.

– Ja..a... tu... koło pana rotmistrza położę,... proszę pozwolić!

– A leż sobie, jeśli ci tu wygodnie!

Myślał biedaka, że koło dowódcy... bezpieczniej.

W tym momencie usłyszeliśmy charakterystyczny gwizd spadającej bomby lotniczej, wbiła się w ziemię tuż koło nas,... piekielny huk eksplozji, zostaliśmy poważnie przysypani ziemią.

Wydostałem się jednak o własnych siłach, przetarłem oczy, strzepałem ziemię z munduru, to samo zrobili ułani.

Rozglądam się, szukam swego „koniarza" – tylko nogi mu wyglądają z pod ziemi.

Kiwnąłem na ułanów,... wydostajemy biedaka z trudem,... ciężko oddycha i pluje ziemią, po chwili otworzył oczy,... może ranny?

Rozpinam mundur, obmacuję całe jego ciało, rany nie widać, ale czemu milczy?

– Co ci jest? czemu milczysz?

I załopotał powiekami i cicho powiedział: –

– Oj!.. panie rotmistrzu! ja już zabity!
Popatrzyłem na ułanów, ... wybuchnęliśmy śmiechem.

Po południu tegoż dnia bitwa o przeprawę w m. Różan przechyliła się na korzyść Niemców, poczęły odchodzić nasze oddziały tyłowe, a około godziny 17.00 cofały się już oddziały liniowe.

Około godziny 17.30 na odcinek stanowisk naszej „K.D." wyszły z lasu czołgi niemieckie wsparte lotnictwem. Czołgi niemieckie poruszały się bardzo odważnie, miały prawdopodobnie zamiar w miejscu koło naszego odcinka obrony przerwać drogę odwrotu cofającej się piechoty.

W tym czasie przez ugrupowanie naszej „K.D." przechodziły działka ppancerne cofającej się naszej piechoty.

Zatrzymałem pomocnika dowódcę tych działek i zaproponowałem by mi pomógł.

- Panie porucznika! widzi pan czołgi! .. trzeba ich zniszczyć!

- Tak jest! już się robi!

Bardzo sprawnie zajął stanowiska, a gdy czołgi skręciły na kierunek natarcia i przecięcie drogi odwrotu naszym oddziałom - spokojnie wyczekał odpowiedniej chwili i otworzył ogień ze wszystkich działek.

Kilka czołgów stanęło w płomieniach, reszta w pośpiechu wycofała się.

Podziękowałem dzielnemu porucznikowi i zaproponowałem by dołączył do naszej K.D. - nie zgodził się, miał inne rozkazy od swego dowódcy.

Jeszcze dziś nie mogę zapomnieć świetnej postawy tego dzielnego młodego oficera piechoty, działał jak artysta - godny dowódca swego wspaniałego oddziału.

Cała nasza K.D. patrzyła z zachwytem na pracę bojową tego doskonałego oddziału.

Wracam do momentu ukazania się i natarcia na nas czołgów, ... muszę przyznać, że widok nacierających żelaznych smoków, ... stwarza paskudne uczucie, a szczególnie jeśli się niema, tak jak nasza „K.D.“ działek ppanc.

I pod Różan wycofywały się bezładnie resztki oddziałów własnych, zapadał zmrok, sytuacja naszej „K.D.“ stawała się beznadziejna. Pozostawać tu ani nie można, ani niema celu, a rozkazów od dcy dywizji niema.

Postanowiliśmy wycofywać się na kierunek m. Wyszków.

Dla ewentualnego nawiązania łączności z własną dywizją został wysłany patrol pod dowództwem podoficera.

Wycofywanie się naszej K.D. było tym gorsze, że zapadła bardzo ciemna noc, a na drogach jeszcze gorzej niż w dzień.

Dowódca patrolu wysłany do nawiązania łączności z dywizją jakimś cudem spotkał sztab dywizji.

Około godziny 22ej napotkaliśmy nasz patrol, a z nim oficera ze sztabu dywizji.

Oficer ten przekazał nast. rozkaz dla K.D.:

„Osłonić bok maszerującej dywizji na m. Brok w rejonie Obryte – oficer ten wskazał na mapie miejsce naszego stanowiska. Na tym miejscu trzymać się możliwie do świtu – potem wycofać się na m. Brok.

Na moje pytanie – gdzie są Niemcy, odpowiedział: – „wszędzie" i odjechał.

Zadanie paskudne. Chciałem zwrócić uwagę temu oficerowi, że takie zadanie nie dla „K.D.", ale on pośpiesznie zniknął w ciemnościach, a gdyby i został, to rozkazu zmienić nie mógł.

Znów piekielny nocny marsz, nie widać nawet szyi konia, drogi zatłoczone.

Bokami dróg, tuż z przewodnikiem dotarliśmy do nakazanej miejscowości.

Była to niewielka wioska, za którą przepływał

jakiś potoczek w dolinie, a po jego drugiej stronie na wzgórzu rozsiadł się duży dwór polski z widoczna dużymi zabudowaniami gospodarczymi.

W tym właśnie czasie duże masy naszych wojsk pośpiesznie i trochę w panice wycofywały się przez ten dwór i wieś.

Trzeba teraz wybrać miejsce na zorganizowanie obrony, ale jak? Ciemno, masy ruch wycofujących się oddziałów, na pytania nikt nie odpowiada.

Całość K.D. trzeba było spieszyć[x], koniowodni pozostali za zabudowaniami dworskimi, a spieszony szwadron przesunęły się nieco do przodu.

Posuwanie się jednak do przodu narazie było niemożliwe.

Przeczekaliśmy kilka minut, droga stawała się wolniejsza, cofających wojsk mniejsze. Znów pytamy, skąd idą i co się dzieje,

x zsiadł z koni.

i znów bezskutecznie; milczą i prą do przodu.

Wysłałem pluton pieszo do przodu, przecież z całą K.D. idziemy z trudem do przodu.

Wyszliśmy na lekkie wzgórza za zabudowaniami dworu.

Pluton szpicy wysunął się do przodu, a cała K.D zaległa na wzgórzu obok drogi, którą jeszcze prawie biegiem wycofywały się nasze niewielkie oddziały.

W pewnym momencie przesuwał się koło nas szybkim marszem, ale nie biegiem jakiś duży oddział, z odgłosu marszu można było wyczuć, że oddział ten porusza się jakoś sprawniej niż poprzednie.

Oświetliliśmy ich latarkami; trafiliśmy na dowódcę, był to major w rozpiętym nowym płaszczu i w garnizonowej rogatywce, a z pod płaszcza widać było nowy gabardynowy mundur i kołnierz z wężykami.

Fakt ten zadziwił nas, ... w takim mun-

dawne i po sześciu dniach walki?
Żołnierze tego oddziału również ubrani byli w nowiutkie płaszcze, - robili wrażenie że w walkach nie brali udziału, a przecież jak i inni wycofywali się zwłaszcza z walki w rejonie Różan, z ciężkiej walki o przeprawy.

Zapytałem majora, czy daleko i gdzie są Niemcy?

Nie zatrzymując się odpowiedział.

– O,o,o, daleko, daleko! możecie śmiało iść do przodu!

Akcent majora, nowiutkie mundury, zwartość oddziału (około batalionu), jakoś kontrastowały z rzeczywistością, coś się nam w tym nie podobało.

Nie znaliśmy jeszcze sztuczek jakie stosowali Niemcy.

Dziwny ten batalion przeszedł, za nim już nie pojawił się żaden oddział.

Przed nami, ale dość daleko, pewno na linii rzeki naszo ciemność nocy rozświetlały łuny pożarów.

Staliśmy na wzgórzu koło niedużego budynecznku, był to budynek wagi wojowej.

Pułkownik Kowalewski zarządził by wszyscy oficerowie weszli do tego budyneczku, by tam rozłożyć mapy i zorjentować się w położeniu „K.D".

Pokładliśmy się na podłodze przy rozłożonych mapach i przy świetle latarek staraliśmy się coś uzgodnić.

Spojrzałem na zegarek – kilka minut po północy, wstawał dzień 7. września 1939 roku.

Po chwili ciszę nocną przerwał okrzyk od naszego ubezpieczenia.

– Kto idzie?

Zamiast odpowiedzi, zagrał nasz R.K.M.,

a do budyneczku wpadł goniec od ubezpieczenia i zameldował:

– Od przodu,... sto metrów,... Niemcy!

Podawaliśmy się na różne rogi i przeszliśmy wychodzić z budynku. W tym momencie usłyszeliśmy na przedpolu kilkanaście „suchych" strzałów, (charakterystyczny trzask rakietnic) przy czym duży odcinek terenu został błyskawicznie oświetlony, a po chwili spadł na nas, na dwór i wioskę huraganowy ogień z broni maszynowej i granatników.

Cały dwór wraz z budynkami gospodarczymi i wioska stanęły w płomieniach, stało się widno jak w dzień.

Przed nami ujrzeliśmy dosłownie fale nacierającej piechoty niemieckiej.

O przyjęciu walki nie było mowy, przeszliśmy pospiesznie wycofywać się do komorowów.

Zbiegliśmy do potoczka w dół, i to uchroniło nas K.D o kompletnej zagłady.

Gdy dobiegaliśmy do potoczku i palących się budynków dworu - spotkał nas ogień

od strony wsi (na nasze tyły).

Cała nasza „K. D." znalazła się w położeniu jednym z najgorszych jakie mogą zaistnieć na wojnie; trafiła w dwa ognie i w natarcie przeważających sił wroga.

Oszalałe, jeszcze trzymane przez koniowodów - konie powyrywały się im i ruszyły w różne strony. Część wpadła w stawy rybne i tam utonęła, część padła pod kulami wroga, część gdzieś się przeniosła.

W jednym ze stawów rybnych zginął i mój kochany polski koń „Fanatyk".

Pod osłoną nie palących się chat nasza „K. D." przebiła się przez Niemców strzelających od tyłu. Pomógł nam przypadkowo znajdujący się tu oddział naszej piechoty, który nawiązał walkę z wrogiem strzelającym w nasze tyły.

Wspólnie odrzuciliśmy ten oddział. Wzięci do niewoli Niemcy, byli poubierani w polskie mundury, - był to ten batalion niemiecki, który przed godziną przechodził koło nas, jako oddział

polski, a wygląd którego tak nas zadziwił:

Po przebraniu się i odejściu w ogólnym kierunku na Wyszków, złapaliśmy około 75 szt. luzaków koni.

Wpadliśmy znów w nie do opisania ruch naszych oddziałów i bombardowanie lotnicze.

Ja z wachmistrzem Tadeuszem Wiśniewskim, przypadkowo napotkanym samochodem osobowym pojechaliśmy do odszukania sztabu naszej dywizji lub jakiegoś innego sztabu, by wyjaśnić sytuację i dalsze działanie.

Omijając drogi główne jechaliśmy na m. Brok.

Nie będę opisywał w jakim stanie psychicznym byliśmy po przeżytej nocy i porażce naszej K.D.

Polnymi drogami wyjechaliśmy na szosę biegnącą na m. Brok.

Przed wjechaniem na szosę kierowca stanął, ujrzeliśmy cudny obrazek – szosą w naszym kierunku nadciągała kolumna polskiej kawa-

lerii, szła kłusem dwójkami; szwadron za szwadronem, pułk za pułkiem. Była to Mazowiecka Brygada Kawalerii pułkownika dyplomowanego Karcza.

Szwadrony, pułki wyglądały jak na defiladzie. Przez szyby samochodu poznawałem kolegów jadących spokojnie na czele swoich szwadronów.

Na czele szedł 1 pułk Szwoleżerów - ulubieńcy Warszawy, za nim 7 pułk Ułanów „Beliniacy" i jako trzeci 11 pułk Ułanów z Ciechanowa.

Łzy radości i jednocześnie bólu zalały mi twarz. Jeszcze nie byłem świadom rozmiaru niesłychanej klęski Wojska Polskiego, zdawało mi się, że to co spotkało naszą „K.D." jest winą naszą - moją i wszystkich oficerów „K.D.".

Nie wiedziałem, że nasza 33 Dywizja Piechoty znajdowała się już w jeszcze gorszym stanie, a cała pięknie wyglądająca przechodząca przede mną Mazowiecka Brygada Kawalerii już wkrótce przejdzie

202 8447

los całej armii polskiej.

Nie zapomnę nigdy słoneczku do mnie dy-
ponta wachmistrza Tadeusza Wiśniewskiego –
w chwili gdy ze łzami w oczach patrzyłem
na przechodzącą Brygadę,... uściskał mnie,
... mocno ścisnął moją rękę i szeptał:

– proszę się uspokoić,... to nie nasza wina!

Ten bohaterski i oddany podoficer nie odstę-
pował mnie do końca kampanii, był ze mną
przy mnie do 5. X. 1939.

Szybko opanowałem chwilowy wstrząs
psychiczny,... trzeba było działać dalej.

W „Migawkach" nie będę opisywał szcze-
gółowo losów dalszych naszej „K-D", uczyniłem
to przez napisanie szkicu historycznego p.t.
„Szwadron Kawalerii K.O.P. „Olkieniki" – ory-
ginał znajduje się w Muzeum w Poznaniu – Od-
dział Broni, oraz został opublikowany w Londynie
w kwartalniku „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej"
z roku 1966.

Wspomnę tylko fragmentarycznie.
W dniu 8. IX 39 po ciężkiej walce na przeprawie w m. Brok, gdzie spotkaliśmy część pułku piechoty z 33 DP. na rozkaz dcy tego pułku - oddział naszej „KD" podzielono na dwie części.
Rotmistrz Stanisław Kowalewski z częścią pomaszerował na m. Węgrów, ja z częścią na Sokołów Podlaski, w którym w dniu 10. IX 39 po całodziennym masowym bombardowaniu przez lotnictwo niemieckie, zostało mi 27 ułanów, w tej liczbie ppor. rez. Ildefons Houwalt[x], i wachm. Tadeusz Wiszniewski.
Konie zginęły wszystkie, ale wachm. Wiszniewski zdobył trzy samochody ciężarowe i na nich w tym składzie w mym rozkazie pojechaliśmy do Łucka, gdzie dotarliśmy po kilku potyczkach w dniu 14. IX 39.

Podczas tego marszu już zdawaliśmy sobie sprawę z ogólnego położenia, ale nie przewidywaliśmy końca takiego - jaki był.

x ppor. Ildefons Houwalt ryt. - plastyk, mieszka w Poznaniu

204 ~~846~~

Mieliśmy trochę czasu na rozmyślania.

Zadawaliśmy sobie pytania, - jak to jest że walczymy sami?

Przed wybuchem wojny w roku 1937 i 1938 tyle się mówiło w prasie i przez radio, że w razie wojny Polska nie będzie sama, że mamy oddanych silnych sojuszników - wypróbowaną Francję i życzliwą Anglię.

Sami, już podczas walk w dniu 3.IX.39 słyszeliśmy przez radio, że oba te państwa wypowiedziały wojnę Niemcom, znaczy, że już powinni walczyć.

My jednak nie odczuliśmy żadnej ulgi, a przecież już był pora, by Sojusznicy zaczęli walczyć.

Dziś wiemy co sojusz tych państw był wart.

Jeżeli po przegranej kampanii wrześniowej 1939 roku i całej II wojny światowej - nienawidzę Niemców, to nie obdarzam i szczególną sympatią ani Francuzów, ani Anglików, czuję natomiast niesmak jakiś,

Maćków i Józków w zielonych mundurach żołnierskich, którzy w trudnych i rzeczywiście nawet podczas wojny niebywałych warunkach – bili hitlerowców, i bili naprawdę. Przygniotła ich przewaga.

Dziś, gdy dysponujemy obrazem historycznym z wielu źródeł można mówić z dumą o bohaterstwie żołnierza kampanii wrześniowej 1939 roku.

Suche tylko statystyki stwierdzają, że do początku kampanii ze Związkiem Radzieckim 1941go roku – Wojsko Polskie w ciągu miesiąca i trzech dni walk we wrześniu do 6 października zadało Niemcom grubo więcej strat niż panowie Francuzi, Anglicy i Belgowie w ciągu półtora roku wojny.

Czuję się szczęśliwy, że losy wojny nie rzuciły mnie na zachód, i że nie musiałem robić dobrej miny do francuskich „poilu" czy angielskich „Tomi", natomiast z przyjemnością wspominam o wspólnych walkach z radzieckimi „Waniami",

który, niejeden głodny i obdarty bił Niemców, aż dobił żywota w jego barłogu.

W Łucku, w dniu 14.IX.39 dowiedziałem się, że komendantem obozu warownego w Łucku jest generał Skuratowicz, - były szef Departamentu Kawalerii Min. Spr. Wojskowych.

Znałem Generała i wiedziałem, że jest to „mocny generał" - zameldowałem się u niego natychmiast.

Przerażony byłem jego wyglądem, poszarzał, oczy zapadły, a w ich wyrazie udowodniał bezmiar smutku.

- Obejmiesz obronę mostu na Styrze! (na przedmieściu miasta). - Blisko mostu jest duża cysterna z benzyną, ... której bez mego rozkazu, ... nie masz prawa wydać nikomu, ... ni-ko-mu, ani kropli, .. rozumiesz?

- Rozumiem panie Generale!

Generał zamilkł, chwilę patrzył w okno, przeszedł do mnie:

- Nigdy nie wierzyłem sojusznikom, ... póki nie kiwnęli do tej pory, ... ale wkrótce

przekonając się, ... i generał machnął ręką.

– Możesz odejść!

Zabrałem się do budowy stanowisk obronnych i przeciwczołgowych na przyczółku mostowym; ale była to „syzyfowa" praca, drogą bowiem i bokami nie szła, a toczyła się „lawina" ludzi, pojazdów różnego rodzaju uciekających z całej Polski, oraz różnych rodzajów oddziały wojskowe.

Zakłopotany, bezradny patrzyłem jak toczyła się ta żywa lawina, której ani zatrzymać, ani uporządkować nikt nie był w stanie, ... parła, aby dalej na wschód, dalej od Niemców.

Musiałem przerwać rozpoczętą pracę i pojechałem zameldować o tem generałowi.

Przyjechał na przyczółek natychmiast – popatrzył, ... machnął ręką i wrócił do samochodu, przed wsiadaniem do którego odwrócił się do mnie: –

– Rób co możesz! ... pamiętaj... pilnuj benzyny, ... nikomu ani kropli.

Przygotowałem z trudem jakie-takie stanowiska dla C.K.M. i ruchome przeszkody p. czołgowe. Miałem teraz możność dać ułanom trochę odpoczynku, sam patrzyłem ze ściśniętym sercem na ludzi, którzy szli i szli, sami nie wiedzieli dokąd i poco.

Zdawało się im, że aż na Wołyń... Niemcy nie dojdą.

Na przeprawie tej przeżyłem ciężkie chwile, jeszcze dziś stoi mi przed oczami widok tej „żywej lawiny," - dzieci, starcy, kobiety, chorzy i zdrowi, - pieszo, wozami, pchając ostatnie wózki, końmi, samochodami, zmęczeni, głodni, bezdomni, ratowali swe życie - uchodzili od barbarzyńców XX-go wieku.

Uciekali od ludzi, którzy wraz ze swastyką nieśli, mord, grabież, poniewierkę, zagładę wszystkiego co polskie.

Nie mogłem zrozumieć, i to się dzieje w XX-tym wieku.

Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że wkrótce

Ci przedstawiciele „narodu panów" zbudują w Polsce fabryki „śmierci ludzi", że z kominów krematoriów Oświęcimia, czy Majdanka będzie latami wzbijał się w niebo dym palonych ludzi, że miliony Polaków zginą pod razami terroru-elity niemieckiej zbrodniarzy z gestapo i „S.S."

Rozmyślania moje przerwał głos z ciągnącej ławy:

— Czołem Sławu!

Był to porucznik Władek Wichert Pytel, szedł na czele swego oddziału ułanów. Prowadził Szwadron Zapasowy 19go Pułku Ułanów, który kwaterował przed wrześniem we Włodzimierzu Wołyńskim.

To przecież mój rodzony pułk, pierwszy w mej służbie ułańskiej; ... serce zabiło mocniej.

Obok niego szli: pułkownik Dezyderiusz Zawistowski, major Dziedzic Czaplewski, porucznik Eugeniusz Wiśniewski — trzej drodzy koledzy pułkowi.

Spotkanie bardzo ciężkie — bez słów mocne uściski, i ... oni poszli dalej, mnie czekał

~~850~~
210

marszu do Dubna.

Nie spotkałem już nikogo z nich nigdy. Ktoś mi mówił, że pułkownika Zawistowskiego zamordowali w parę dni później nacjonaliści ukraińscy.

Rotmistrze Władek Wechert, Sitek i Lench Wiśniewski podobno zginęli w Katyniu.

Niemcy byli od Łucka jeszcze stosunkowo daleko, tak że ja i mój oddział mogliśmy trochę odpocząć też na stanowiskach, wrzesień bowiem w 39 roku był wspaniały; ciepły, słoneczny bez deszczów.

Miałem natomiast dużo kłopotu i zmartwień z powodu cysterny z benzyną, która stała tuż przy moście i rzucała się w oczy. Uciekający samochodami już wyczerpali swoje zapasy benzyny, a tu?... cała cysterna.

Co raz ktoś podchodził prosząc chociażby o litr, dwa tego tak cennego teraz płynu.

Odmawiałem wszystkim - wiązał mnie wyraźny rozkaz generała.

Stałem blisko mostu, obserwowałem tłumy uchodźców. Rzuca mi się w oczy osobowy samochód popychany przez dwóch mężczyzn, lał się z nich pot,... ujrzeli cysternę,... zepchnęli samochód na swoją stronę, coś z sobą porozmawiali i idą do mnie.

— Panie oficerze,.. pan tu dowodzi?

— Tak!

— Damy panu co... pan chce,... za dziesięć litrów benzyny,... błagamy pana!...

— Ani kropli!.. bez rozkazu Generała!

Prosili, błagali,... wreszcie odeszli.

Po chwili,.. wysiada z wozu, dość korpulentna, bardzo starsza, zupełnie siwa pani.
Przy pomocy owych mężczyzn z trudem podchodzi do mnie.

— Mój synu kochany! ratuj mnie chorą i moją córkę,... tam siedzi w samochodzie,... wysoka ciąża, może dziś,... może za parę godzin,... nastąpi rozwiązanie,.. ratuj pan!

Serce załopotało, ale rozkaz i to podczas wojny!

— Wszystko rozumiem proszę pani, współczuję,

2128.52

ale,... benzyny dać nie mogę, proszę udać się do Generała Skuratowicza; i oto: — staruszka, siwa pani,... upadła na kolana, uchwyciła moją rękę i... poczęła całować.

Zdębiałem, straszna chwila, tego nie przewidziałem, a gdy wyrwałem swoją rękę,... była mokra... od łez,... starej; stroskanej Matki.

Co przeżyłem, zrozumie chyba każdy, ale... benzyny... nie dałem, złamać rozkazu nie mogłem.

Nie zdążyłem jeszcze się uspokoić po tym bardzo przykrym incydencie, gdy ujrzałem jak, jakoś bardzo gładko prześlizgnął się przez most ładny, duży samochód, zręcznie podjechał do mnie.

Z samochodu wyskoczyli czterej oficerowie, pułkownik i trzech majorów.

— Pan tu dowodzi.. kapitanie?

— Ja!... nie podobał mi się ten pułkownik.

— Jest benzyna w cysternie?

— Jest!

— To dobrze! wyda mi pan,... te dwie

kanistry i proszę prędko!

– Wydam!... ale tylko na rozkaz generała Skuratowicza!

– Ma... pan... wydać na mój rozkaz!!!

– Napewno nie! tylko na rozkaz generała!

Pułkownik wyszarpnął z kabury pistolet, skierował lufę do mnie: –

– Brać panowie benzynę!!

Majorowie i sierżant kierowca wozu ruszyli do cysterny,... nie przeczuwali co ich czeka, bo do podszedł się do mnie wachm. Wiśniewski z kilku ułanami.

– Wiśniewski!... rozbroić!

W oka mgnieniu pułkownik i trzej majorowie byli już bez broni.

Z odpowiednim meldunkiem – pod konwojem odstawiłem „Bohaterów" do generała. Więcej ich nie widziałem.

Cieszyłem się ze „scenkę" tą widzieli owa starsza pani i jej otoczenie.

214
~~854~~.

Przed wieczorem dnia 17.IX.39 rozeszła się hiobowa wieść: - Wojska Radzieckie przekroczyły granice naszego państwa i idą w głąb Polski.

Teraz już,... lepiej nie myśleć o niczym.

W nocy tegoż dnia otrzymałem rozkaz od generała Skwarczyńskiego udania się samochodem do Pińska z zadaniem:

1) stwierdzić jak zachowują się w stosunku do naszych wojsk - oddziały Radzieckie, oraz rodzaje tych wojsk i ilość,

2) nawiązać łączność z G.O. Polesie generała Franciszka Kleeberga.

Do Pińska wyruszyłem siedmioma samochodami, po drodze ostrzeliwały nas jakieś drobne oddziały dywersantów, ale nie ponieśliśmy żadnych strat, przeszkadzali tylko, trzeba było zchodzić z samochodów, uderzać.

Do Pińska dotarłem po 9 wieczór dnia 18 IX, miasto nie było zajęte jeszcze przez wojska Radzieckie. W sztabie rzecznej Marynarki Wojennej

poinformowano mnie, że oddziały własne nawiązały styczność z przednimi oddziałami sowieckimi, które w dniu 20.IX. najdalej wkroczą do Pińska.

W myśl rozkazu (od kogo pochodził nie wiem), nie należało otwierać ognia do oddziałów sowieckich, i naraz wycofywać się.

Garnizon Pińska rozpoczął wycofywanie się już dnia 19.IX.39 r. w ogólnym kierunku na Kobryń, gdzie znajduje się G.O. Polesie generała Franciszka Kleeberga

Rano dnia 19.IX wysłałem meldunek do Łucka (podoficer plus 5 ułanów samochodem - łączność telefoniczna nie istniała od kilku dni) - meldunek prawdopodobnie do generała Skuratowicza już nie dotarł.

Pierwsza część zadania została wykonana, teraz trzeba jechać do generała Kleeberga.

Po drogach, wsiach, miasteczkach, stacjach kolejowych napotykałem całe masy uchodźców lub ewakuowanych tu rodzin wojskowych i urzędni-

czych, kierowanych tu zgodnie z planem ewakuacji. Nie jestem w stanie opisać rozpaczy tych ludzi, znaleźli się w sytuacji okropnej.

Na widok mego oddziału - rzucali się na samochody, wołali - „ratujcie"!

Nie mogłem im ani pomóc, ani pocieszyć. Pod wieczór dnia 20.IX. dotarłem po kilku utarczkach z bojówkami, po cywilnemu ubranymi oddziałkami, do Kobrynia.

Zameldowałem się u generała Kleeberga - generał znał mnie z przed wojny.

— Nie potrzebuje pan rotmistrz wracać do Łucka, - tam już narazie Niemcy, a gdzie Generał Skuratowicz - niewiadomo!

— Zamelduje się pan u Generała Kmicic-Skrzyńskiego, jego Podlaska Brygada Kawalerii znajduje się we wsi tuż koło Kobrynia. Zorganizuje pan u „Niego" pół szwadronu na przeznaczony mego konwoju i jutro z tym oddziałem zamelduje się u mnie.

I tak, w dniu 20.IX.39 rozpocząłem służbę w Podlaskiej Brygadzie Kawalerii Grupy Operacyjnej „Polesie" generała Franciszka Kleeberga, która walczyła do dnia 6 października 1939 roku.

Od dnia tego czułem się bardzo dobrze, gdyż miałem prawie szwadron konny, który podlegał generałowi Kmicic-Skrzyńskiemu, ale stale pracowałem pod rozkazami Generała Kleeberga.

Służba rozpoznawcza lub ochrony Sztabu ścisłego Grupy trwała bez przerwy do 5.IX.39.

Nie spałem nocami, nieraz głodny i piekielnie zmęczony czułem się bardzo dobrze.

Tu pełniłem służbę właściwą dla kawalerzysty.

Pomimo, że G.O. Polesie znalazła się w ciężkim położeniu, gdyż znalazła się w kotle coraz bardziej ściskanym przez wojska Radzieckie i Niemców, morale wojska stało na wysokim poziomie, a oddziały Grupy, biły się doskonale.

Przede wszystkim chcę nakreślić sylwetki generałów: Franciszka Kleeberga i Ludwika Kmicic-Skrzyńskiego

~~858~~ 218

Oceniam Generałów ze szczebla młodszego oficera liniowego, — generałów, którzy jak my znosili trudy ciężkiej walki, jak i my byli w każdej chwili narażeni na niebezpieczeństwa wojenne.

Widziałem generała Franciszka Kleeberga jak pod ciężkim ogniem spokojnie wydawał rozkazy, widziałem jak nocami w chłopskiej chacie siadywał przemęczony nad mapą — rozmyślał; poważną, sympatyczną twarz generała — często, pokrywały krople potu, — wstawał, przechadzał się po chacie i mówił do siebie:

„— daleko, ... nie przebijemy się'', i znów sklą-nął się nad mapą.

Generał prawdopodobnie rozważał możliwość przebicia się do Rumunii lub na Węgry.

Po przejściu Grupy przez Bug we Włodawie w dniach 22. 23. IX rozpoczęły się ciężkie walki z Niemcami.

Generał był wszędzie, docierał do najdalszej

wysuniętych ku upłowi oddziałów

Któregoś dnia, może 26 IX - może 27 IX konwojowałem Generała do jednego z oddziałów wysuniętego daleko do przodu.

Podczas przejazdu w jakiejś wsi samochód Generała złapał „gumę", trzeba było się zatrzymać, kierowca wziął się do naprawy.

Szybko ubezpieczyłem postój.

Generał spokojnie spacerował koło samochodu.

Gdy kierowca kończył już naprawę, od mego patrolu ubezpieczającego nadbiegł ułan-goniec:

— Niemcy od czoła, na samochodach i motocyklach!

Ruszyłem z oddziałem naprzód, gdy wybiegłem za chaty wsi, gołym okiem dokładnie zauważyłem kolumnę niemiecką około 15-tu samochodów pełnych wojska i około 30-tu motocyklistów.

Odwróciłem się, by przywołać oddział, -

przy mnie stał generał.

– Niemcy! panie Generale!

Generał Janke z uśmiechem popatrzył na mnie i powiedział: – skąd oni tu?

– Nie wiem panie Generale, ale są!

– Mon vieux...

Nie miałem czasu na dalsze rozmowy, wyjąłem dałem znak do mego oddziału.

Ppor. Hoewalet podciągnął oddział, szybko zająłem stanowiska, – czekałem by Niemcy podeszli bliżej.

W pewnej chwili podszedł się do mnie st. sierżant piechoty i zameldował:

– pan Generał przysłał mnie do pomocy, mam pluton piechoty i 4 C.K.M'y. Był to pluton przypadkowo znajdujący się w tej wsi.

Teraz już miałem poważne siły.

Dopuściłem Niemców jak można najbliżej.

Krótka komenda: – „ognia". Kolumna

niemiecka stanęła, żołnierze niemieccy po-
częli wyskakiwać z samochodów – wykorzystałem
chwilowe zamieszanie w ich szeregach i ca-
łością uderzyłem na bagnety.

Rozprawa trwała krótko.

– Panie Generale! droga wolna!

– Dziękuję Ci! wsiadł do samochodu i
ruszyliśmy dalej.

Prawie każdego dnia widziałem generała
w różnych sytuacjach, zawsze był spokojny,
odważny, wydawał jasne rozkazy i zawsze sku-
teczne.

Generała Ludwika Kmicic-Skrzyńskiego
jako kawalerzysta znałem dobrze, często Go
spotykałem w różnych okolicznościach i podczas
zawodów Militari W.P. – pewnego roku mia-
łem z Nim „pierepałki". Było to podczas
zawodów Militari W.P. w Białymstoku, które
On jako dowódca Brygady organizował.

Ja zostałem zwycięzcą, i mam go do dziś –
chodzenia, z trzcinką do jazdy konno – w ręku.

W myśl przepisów oficer używał trzcinki tylko podczas jazdy.

Któregoś dnia jeszcze przed rozpoczęciem zawodów, wprost po treningu koni poszliśmy z rotmistrzem Leśnikiem Jurkowskim do miasta na kawę, obaj wyszliśmy z trzcinkami w ręku. W pułku u nas, uchodziło nam to, ale tu? Szliśmy zadowoleni z życia czyniąc uważny przegląd pięknych „białostoczanek".

W pewnym momencie podszedł do nas rotmistrz żandarmerii, zasalutował i groźnym tonem:

– poproszę panów o nazwiska!

Muszę stwierdzić, że korpus żandarmerii nie był lubiany przez oficerów liniowych, to też „postawiliśmy się" – żandarmowi.

– O co panu kapitanowi chodzi? zapytał Leśnik naumyślnie tytułując go kapitanem*, co rozgniewało żandarma.

Po dość ostrej wymianie słów, okazało się że my z Leśnikiem nie znamy przepisów obo-

–//–

* oficer żandarmerii w stopniu kapitana – miał tytuł jak i w kawalerii „rotmistrz".

wracających w Wojsku Polskiem, i lekceważący wydany w tym kierunku rozkaz Komendanta Garnizonu spacerując po mieście z trzcinkami w ręku.

Nazwisk swoich jednak rozsierdzonemu żandarmowi, nie podaliśmy.

Po wypiciu kawy wracamy cała paczka oficerów zawodników do koszar- kwaterunkowych w koszarach 16go pułku Ułanów.

Przed bramą koszar widzimy oficera służbowego pułku, a koło niego owego oficera żandarmerii.

Aha! znaczy, że ten drań wyczaił nas i koniecznie chce znać nasze nazwiska.

Podchodzimy do bramy, a w ręku ściskamy nieszczęsne trzcinki.

Nasz kolega, oficer służbowy pułku z uśmiechem zatrzymuje nas:

— Słuchajcie! — pan porucznik, wskazuje gestem ręki, żąda podania Twoich Sławku i Lorku nazwisk,... co ja mam zrobić? jestem na służbie!

– Nie wzruszaj się i podaj mu nasze nazwiska!, a także powiedz mu, niech nas przeliżą w .... !

Na drugi dzień oczywiście wezwano nas do raportu do Generała.

Weszliśmy służbowo ubrani (bez trzewików) do gabinetu generała, przepisowy meldunek i w postawie na „baczność" czekamy.

Generał Kmieć, przechadzał się po pokoju i po chwili zatrzymał się koło nas:

– Mało tego, że wbrew przepisom i moim rozkazom spacerowaliście panowie po mieście z trzcinkami, ... ale i bardzo (zmienił wyraz) „nie przepisowo" zachowaliście się wobec oficera żandarmerii starszego stopnia, (my wówczas byliśmy porucznikami).

Milczymy....

– Co panowie mają na swoje usprawiedliwienie?

– Nic!, panie Generale!

Generał uśmiechnął się, podszedł znów do

nas, pewno takiej odpowiedzi spodziewał się,
stanął na „baczność":-

– Jesteście panowie moimi gośćmi i w przededniu trudnych zawodów,... dlatego tylko zwracam panów uwagę na niestosowność postępowania i proszę, by więcej podobnych wypadków nie było;!.. możecie panowie odejść!

W tył zwrot i już nas nie było w gabinecie Generała.

– Morowy chłop,... ten wasz dowódca brygady; zwierzaliśmy się do oficerów jego Brygady.

Byłoby wszystko dobrze, gdyby moje przyzwyczajenie miało jakieś granice.

Bo oto w pierwszym dniu zawodów, po odbyciu próby A na czworoboku, poszliśmy z Leszkiem znów na kawę, a ja?... znów z [illegible], ale tego nie zauważyliśmy ani ja, ani Leszek.

Już jesteśmy w drzwiach kawiarni;.. wychodzi z nich,... generał Kmicic,... [illegible] salutujemy,.. generał stanął i jakoś dziwnie

patrzy na mnie, ... poczułem jak trzcinka parzy mi dłoń, ale już teraz nawet rzucić jej nie mogę.

– Janto? Ty znowu z trzcinką?

Teraz już było mi wstyd....

– Zameldujesz swojemu dowódcy pułku, że... dwukrotnie nie wykonałeś mego rozkazu!

– Rozkaz, panie Generale!

Kawa mi już nie smakowała, nawet obojętnie patrzyłem na śliczną blondyneczkę siedzącą opodal, która mi od kilku dni wpadła w oko.

– Żadna cholera z was nie zwróciła mi uwagi, psioczyłem na kolegów.

– Nie martw się, patrz lepiej jakie oko sypie „twoja blondynka"!

– Idź do djabła... !

Przykro mi było, że bezwiednie tak źle pokazałem siebie – Generałowi.

Sprawa została naprawiona podczas

podczas bankietu po zawodach.

W zawodach Militari zająłem dość dobre miejsce w czołówce. Generałowi Kmiecikowi podobał się mój styl jazdy, wiedziałem że mnie lubi. W trakcie bankietu spotkałem się z generałem.

— A, a! chodź! chodź! idziemy na „jednego"!

— Doskonale jeździłeś na czworoboku!... no.. nasze ułańskie! generał trącił swoim kieliszkiem o brzeg mego.

— Panie Generale!... bardzo mi przykro,... tak jakoś źle wyszło,... z tą trzcinką, ja... naprawdę... nie chciałem,.. z przyzwyczajenia!

— No dobrze! dobrze! wiesz co!... panie starszy! tu,... niech pan napełni!

W ostatnich dniach września 1939 roku gdzieś pod Włodawą jadę obok Generała. Brygada po walce manewruje jako czoło Grupy Operacyjnej; rozmawialiśmy z generałem.

— A pamiętasz ty,... historię z trzcinką?.. jakie to były czasy...! na twarzy generała legł

ciężki smutek.

W działaniu Generała prawie przez dwadzieścia dni, nie w salonie, czy na manewrach, a na polu obowiązku żołnierskiego, w niezwykłych i trudnych sytuacjach bojowych... dawał nam przykład postawy żołnierskiej w najcięższych chwilach.

Obaj generałowie,.. takimi i pozostaną w mojej pamięci,.. na zawsze.

Wojna wrześniowa dobiegała końca, dobijam i ja do końca wspomnień – końca mej służby w Sławnej Kawalerii Polskiej.

Jeszcze dwa fragmenty.

Po przekroczeniu przez G.O. Polesie rzeki Bug w Włodawie, znalazła się ona na terenie już zajętym przez wojska niemieckie i częściowo przez wojska radzieckie.

Dnia, zdaje się 26 czy 27.IX zostałem wysłany jako podjazd rozpoznania głębokiego. Zaplątałem się pomiędzy oddziały Ra-

dzieckie i niemieckie, wydawało się, że to już koniec, nie wypłaczę się.

Szczęśliwie jednak dotrwałem do zmroku, teraz wybrnę.

Z dokonanego rozpoznania wnioskowałem, że tu mogę napotkać tylko oddziały radzieckie, ta okoliczność ucieszyła mnie, znam przecież język rosyjski, ... wybrnę.

Kazałem, aby nikt nie odzywał się ani słowem, ja będę w razie potrzeby odpowiadał na pytania sam.

Celowo jechałem ~~bez~~ ubezpieczenia – oddział skupiony tuż za mną.
Wjeżdżamy do dużej wydłużonej wsi, naraz cicho i bardzo ciemno, nie wyczuwa się nic niebezpiecznego.

W środku wsi doszły mnie odgłosy cichej rozmowy i maszerującej piechoty; błysk myśli że to jakiś oddział radzieckiej piechoty; cofać się już nie mogę, ... teraz trzeba działać.

– Oswobodi prawuja, dawaj wpieriod![×]
zagrzmiałem głośno.
Maszerująca kolumna staje... i głos w łamanym rosyjskim języku.
– Nic nado strelaj!, my odstupaj![××]
Zrozumiałem, że to nie Sowieci, a Niemcy, ale noc i język rosyjski oraz tupet uratują. (Niemcy wówczas nie władali z wyjątkami radzieckim.)

Dobrze teraz dalej posłałem. i znów głośno:
– Idzies prohodit sowieckij kawalerijskij połk, stojte i nie trogajtieś!, ja dołożu![×××]
i podaję głośno komendę:
– Eskadron rysiju marsz![××××]
Kłusem przedefilowałem przed kompanią czy dwoma Niemców,.. stali jak trusie,..

–..–

× Prawa wolna, dawaj do przodu!
×× Nie strzelać, my cofamy się!
××× Tu maszeruje pułk radzieckiej kawalerii, stójcie ja zamelduję...
×××× Szwadron kłusem marsz!

myśleli, że to rzeczywiście radziecka kawaleria.

Po wyjechaniu ze wsi, przeszedłem do stępa. Teraz śmieliśmy się z durnych „szkopów” ile wlezie.

Wojna, a szczególnie sytuacja wojenna po 17 IX stwarzała niaraz dziwne momenty, dobrze jeśli się udawało je wykorzystać tak jak udało się mnie.

Ostatnia Rapsodia Ułańska.

Dnia 5. IX 39 ciężkie walki całej G.O. Polesie trwały w rejonie Kocka, Woli Gułowskiej.

Głodny, zmęczony leżę okopany ze swoim oddziałem, Niemcy prażą silnym ogniem artylerii.

G.O. Polesie niema już ammunicji, ani żywności, na pomoc liczyć nie można, gdyż nikt już takiej udzielić nie może, cała Polska zalana barbarzyńskimi hordami najeźdźcy.

Leżę i już nawet nie nie myślę.

Podczołguje się do mnie oficer ze Sztabu G.O.:

– Idaj odebrać zastępcy, a sam do Generała!

– Porucznika Hauwaldt! obejmuje całość, idę do Generała!

Przyszedłem do chaty sztabu, tu zastałem Generała Franciszka Kleeberga, generała Kmicic-Skrzyńskiego, Generała Podhorskiego i kilku oficerów, - brudnych, osmalonych słońcem, wychudłych, ale o dziarskich minach. Między nimi poznałem majora Nakonecznikoff'a, z przed września dowódcę szwadronu kawalerii K.O.P. Stołpce, którego znałem doskonale, - kiwnął mi głową.

Chwilę czekałem, generał Kleeberg rozmawiał z Kmicicem i Podhorskim, po jakimś czasie do mnie :-

– Słuchaj!, pan major Nakoneczn ikoff, przyniósł wiadomość, ... że podobno w Garwolinie koncentrują się jakieś duże nasze oddziały, ... trzeba to sprawdzić!...

– Z oddziałem nie przejedziesz, trzeba iść samemu! ... czy podejmujesz się tego zadania?

– Podejmuję się panie Generale!

Sam nie wiedziałem jak to zadanie wykonam.

– Idź, trochę odpocznij, za godzinę zameldujesz

się u mnie.

– Rozkaz, panie Generale!

W czasie tej wolnej godziny dowiedziałem się wiele od majora Nakonieczznikoffa, mówił o walkach w Warszawie, o losie niektórych Brygad kawalerii, o losie Kolegów, ... ciężka to była godzina.

Melduję się ponownie u Generała, w chacie gen. Kmicic, i mjr. Nakonieczznikoff i jakiś kapitan piechoty.

Generał otworzył drzwi: –

– tu, nazazie nie wpuszczać nikogo!, chodźcie panowie do mapy!

Generał popatrzył na mnie przerem zaczął:

– Według naszego rozpoznania, tu ... (pokazał ołówkiem na mapie) jest nazazie luka w linii frontu; w tą lukę odprowadzi cię kapitan z kompanią kolarzy, po przejściu luki, gdzieś w tym miejscu (znów pokazał na mapie) – kapitan powróci, a pójdziesz sam dalej sam.
Cywilne ubranie masz przygotowane, a tu ... masz cywilny dokument i tu pieniądze.

Długa chwila przerwy, przerem generał mówi dalej:

– Jeżeli dojedzie szczęśliwie do Garwolina i jeżeli tam rzeczywiście... jest jakieś nasze ugrupowanie, to zamelduj, – proponuje połączenie się, ... ja już nie mam amunicji, a ... położenie i sytuację mojej grupy – ty znasz!

Generał zamilkł.

Po chwili, generał Kruzie położył rękę na moim ramieniu: –

– Czy wszystko jasne? rozumiesz wszystko!

– Wszystko jasne, panie Generale.

Możecie panowie odejść!

Stanąłem na baczność: – Odmeldowuję się posłusznie – panie Generale!

Obaj generałowie przyjęli postawę „baczność”: mękkim ale smutnym wzrokiem odprowadzili mnie do drzwi.

Przed chatą stał oddział rozwiązaw – na pozbieranych rowerach cywilnych i... rower dla mnie. Jeszcze tego w mojej długiej służbie wojskowej – nie było!

W sąsiedniej chacie przebrałem się w „cywilne

ubranie" – pożal się Boże, ... ubranie?
Jakieś stare przykrótkie łaszki i przyciasne buciki.
Spojrzałem na cywilny dokument, ... dokument?

Kawałek papierku, ale na maszynie napisano.
„Włodzimierz Jasiński, nauczyciel z Kobryncu, udaje się na poszukiwanie odzieży – jakiś podpis i pieczęć Gminy Kobryń".

Jakoś bez przeszkód, pod ogniem niemieckiej artylerii dojechaliśmy do wskazanego miejsca w którym miała być luka.

Kapitan dowodzi ostrożnie, ale bardzo dobrze, z wielką przyjemnością patrzyłem jak zdecydowanie wydawał rozkazy i doskonale orientował się w sytuacji.

Koło nas zaraz cisza, dochodzą odgłosy walki z pod Woli Gułowskiej i Kocka, ale kapitan zatrzymał oddział:
– Coś mi się tu ... nie podoba!
Zatrzymał oddział, wysłał nowe rozpoznanie – jedziemy dalej, ... po chwili salwa strzałów z R.K.M. i huragan ognia z granatników i C.K.M.'ów.

Wybuch pocisku też... koło mnie,.. lecę w górę i.... oprzytomniałem,.. leżę przysypany ziemią, nie ruszam się,... walka dookoła, nade-mną gwiżdżą pociski, ale leżę w jakimś dołku, a zostałem w polu martwym. wszystko mnie boli, na lewej dłoni czuję lepką ciecz, wstać nie mogę, zdaję sobie sprawę, że podniesienie głowy - to... koniec.

Tak przeleżałem dobrych pół godziny. Kapitan broni się,... nadchodzi zmrok.
W pewnym momencie słyszę ogień z innej strony,... obchodzą kapitana, koło mnie ktoś jęczy.

Po upływie kilku minut ogień z naszej strony,... milknie,.. znaczy to, że kapitan wycofuje się,... ma rację i tak długo się trzymał. Ucicha i ogień od strony niemieckiej, jest prawie ciemno,... słyszę charakterystyczne odgłosy ruchu wojska w natarciu. Niemcy posuwają się do przodu, idą w szyku rozwiniętym, już słyszę kroki, udaję zabitego,... przechodzą, który kopnął mnie nogą,... zaklął i poszedł. Dobrze, że nie wyrwało mi się „- ty s.... synu!“.

Na wszelki wypadek trwałem nieruchomo jeszcze kilka minut,... cicho, odgłosy oddalają się. Wstaję ostrożnie, czuję siebie, poraniona tylko lewa dłoń i to lekko, - idę „na nos", po jakimś czasie dochodzę do zabudowań, nasłuchuję, tak wygląda jak by to była wieś, a w niej jakby wojsko.

W zabudowaniu koło którego stoję, ... cisza. ... zapukać?... czy nie?

W tym momencie ktoś wychodzi z chaty i idzie do obory, krząta się tam, ... pewno karmi inwentarz, pewno gospodarz?.... Polak!

Decyduję się, ... wchodzę do obory: -

- Kto tam?

- Panie gospodarzu, tu polski oficer!

Poczciwy, dobry Chłop Polski z pod Kocka, nakarmił mnie, uzupełnił mój cywilny strój, i bokami, bo we wsi byli Niemcy - wyprowadził mnie na kierunek do Garwolina: - zdjął czapkę ... -

- Niech pana Bóg prowadzi!

Do Garwolina dotarłem, ... nie było tam

878
258

żadnych polskich oddziałów, ale pełno Niemców.

Przechodziłem koło koszar 1go pułku Strzelców Konnych, serce mocno załopotało, — pełno Niemców, a przecież tu.... jeszcze niedawno rżały konie, ze sprzętem przechodziły szwadrony, tu służyli jak i ja koledzy: ppor. Bodzio Budkowski, rotmistrz Staś Łukaszewicz,... kornet....

Dnia 7. X 39 dowiedziałem się,... że G.O. Polesie Generała Franciszka Kleeberga złożyła broń w dniu 6. X. 1939.

Psychicznie poszedłem w „nicość" — gdzieś się powlokłem. Za miastem, w jakichś krzakach siadłem, i widocznie zasnąłem,.. czuję że coś mnie kole w twarz i syczy,... otwieram oczy... przytula się do mnie jeż... wziąłbym go z sobą, gdyby nie był taki kłujący.

Siadłem na rowie, może nawet o czymś myślałem...

Nie słyszałem jak do mnie podszedł,...

stanął i patrzy: —

— No i co teraz?

Stał przede mną jakiś pan, nieźle ubrany, ale zdrożony jak i ja.

– Nic! odpowiedziałem.

Siadł koło mnie, poczęstował papierosem.

Milczymy.

– Ot panie.... było i... niema!

Nic odpowiedziałem. Jemu kapały duże krople łez...

Wstał, popatrzył na mnie, otarł oczy.

– Pan dokąd?

– Ja?... na Majorkę!

– A ja?... na Hawaje! Czołem!; poszedł.

Siedziałem dalej, jak długo nie wiem, od strony Garwolina nadjechały samochody niemieckie pełne wojska, jechali hucznie, śpiewali, śmiali się, na mnie nikt nie zwracał uwagi, a ja nie mogłem zrozumieć – tu na polskiej ziemi?... siedzi oficer polski,

240
~~880~~

a oni … jadą sobie … tak bezkarnie … ?

W dniu 7. IX. 1939 roku … zrozumiałem, … munduru ułańskiego już nie ….., ale serce, … póki bije … zostanie Sercem ułańskim.

„ Wojenko, .. Wojenko!
Cóżeś Ty … za Pani!!!

Choć bez munduru ułańskiego,
Ale … ta sama, .. dusza ułańska.

Poznań 1964 r. [illegible signature]

241
~~873~~

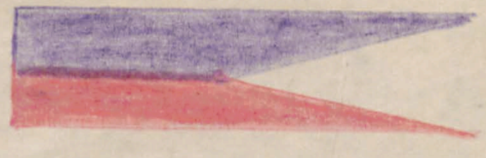

Kronika

fragmentów z dziejów Kawalerii Polskiej w kampanii 1939r.

Fragmenty te, za wyjątkiem „Szarży plutonu ppor. H. Mormana" nie są moimi wspomnieniami, a są zebrane z różnych źródeł.

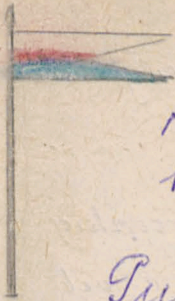

Szarża 18go Pułku Ułanów Pomorskich pod Krojantami.

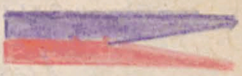

Pułk 18 Ułanów Pomorskich z Grudziądza i wspierająca go 2 bateria 11go Dywizjonu Artylerii Konnej z Bydgoszczy dnia 1.IX.1939r. znaleźli się na osi natarcia 20 niemieckiej Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej.

Od godziny 5 rano Ułani Pomorscy toczyli ciężki, wyjątkowo zacięty bój w obronie stanowisk w rejonie Moszczenicy i Angowic, na południe od Chojnic.

Wróg zasypywał stanowiska ułanów lawiną ognia ciężkiej artylerii i szturmował je raz po raz świeżymi oddziałami, ściąganymi z odwodu.

Chociaż ułani dawali z siebie wszystko, nie szczędząc wysiłku i krwi, byli jednak ludźmi. I choć walczyli uparcie o każdy metr ojczysty

ziemi, żelazne ciosy wroga spychały ich stopniowo do tyłu.

Minęło już więcej niż 7 godzin ciężkiej walki, gdy pułk znalazł się o 10 km od pierwszej linii obrony - w rejonie miejscowości Sternowo.
Przerzedzone były już szeregi pułku, z których ubyło wielu poległych i rannych.

Sytuacja była groźna. Wskutek zepchnięcia 18 Pułku Ułanów do rejonu Sternowa wróg mógł w każdej chwili odciąć drogę odwrotu własnej piechocie broniącej jeszcze Chojnic.

- Dowódca Grupy Operacyjnej „Czersk" gen. bryg. Stanisław Grzmot-Skotnicki, rozkazał dowódcy 18-go Pułku Ułanów płk. Kazimierzowi Mastalerzowi - przeciwnatarciem zatrzymać nieprzyjaciela, przyhamować tempo jego marszu.
Wróg obsadził właśnie wieś Nową-Cerkiew, odległą zaledwie o 2 km. od szosy Chojnice-Rytel.

Pułk był śmiertelnie znużony walką.
Jasne było, że niemożliwe jest frontalne natarcie na wroga.
Pułkownik Masztalerz rozważywszy sytuację i zbadawszy patrolami najbliższy rejon, powziął decyzję klasycznego kawaleryjskiego manewru:
część sił pułku - 2 i 3 szwadrony oraz szwadron C.K.M. miały wziąć n-pla ogniem od czoła i z flanki (z rejonu Stornowa i rej. m. Jeziorki), a reszta sił pułku - 1 i 4 szwadron oraz po jednym plutonie z 2go i 3go - miała obejść łukiem prawe skrzydło Niemców i zaszarżować o godzinie 19 od tyłu oddziały n-pla atakującego Stornowo.
W momencie szarży, część pułku działająca od czoła wraz z przydzieloną kompanią tankietek i kompanią kolarzy - miały rozpocząć szturm atakiem pieszym.
Na odprawie oficerów, któryś z młodych podporuczników zakwestionował koncepcję szarży - puł-

koźnik (Masztalerz) odpowiedział:

— Nie będzie pan mnie uczył, młody człowieku, jak się wykonuje niewykonalne rozkazy!

Decyzja dowódcy pułku - jak dziś stwierdzają historycy - była słuszna. Ale rzeczywistość wojny przynosi nieraz niespodzianki.

Część pułku wyznaczona do wykonania szarży (200-250 szabel) ruszyła ok. g. 17ej. Dowodził zca dcy pułku major Stanisław Malecki. Za tą częścią (dywizjon) ruszył ze swoim pocztem dca pułku.

Szarża.

Wrześniowy wieczór - złota polska jesień. Zmordowanych całodzienną walką ułanów ogarnia senność. Dywizjon maszeruje na przemian stępem i kłusem i ten kłus otrzeźwia nieco ułanów.

Za Krojantami droga prowadzi przez las. Nagle, niespodziewanie - spotkanie z wrogiem. Na leśnej polanie widać bata-

lion piechoty niemieckiej. Wróg czuje się bezpiecznie, niczego się nie spodziewa.

Ułani są nastawieni na szarżę, trzeba wykorzystać zaskoczenie wroga i szybko zniszczyć przeciwnika.

Major Malecki rzuca komendy. Senność pryska w ciągu ułamka sekundy.
Już i Niemcy dostrzegli ułanów. Od czoła zrywają się pierwsze strzały przeciwnika.

Szwadrony sprawnie rozwijają się w prawo, drugi szwadron przedłuża linię pierwszego, plutony rozwijają się linię kanonników.
Padają komendy: skrócić wodze, lance do boju, szable w dłoń!

Major Malecki staje, prostuje się w strzemionach i wyciągając szablę krzyczy komendę:

— Dywizjon do szarży marsz - maaarsz! — i opuszczając raptownie szablę wskazuje nią kierunek i cel - batalion piechoty niemieckiej.

— Komenda przeleciała po szwadronach.

248 880

– Pierwszy szwadron do szarży, – donośnie podaje jego dowódca rotmistrz Eugeniusz Świeściak i jako echo pada komenda rotmistrza Jana Ładonia:

– Drugi szwadron do szarży. –

Marsz - maaarsz!

Jeszcze nie przebrzmiały słowa komendy, jeszcze wisi w powietrzu przeciągłe, tradycyjne ułańskie „marsz, maaarsz", gdy słychać już łomot galopujących koni i gromki okrzyk – „hurraa"

Wszystko nie trwało dłużej jak kilka sekund.

Szarża ruszyła, w szeregi piechurów Wehrmachtu wdarł się krzyk szarżujących i tętent koni. W oczach rośnie im pędząca masa koni i jeźdźców najeżona stalą... jest coraz bliżej, jest... tuż.

Który może ucieka w stronę drzew, kto nie zdąży - zmiata go szybkie, zwinne cięcie szablą, zbija z nóg morderczy sztych lancą.

I wtedy z lewego skrzydła z zarośli zrywa się gwałtowny ogień broni maszynowej. To pędzące szwadrony biją koncentrycznym ogniem niemieckie wozy pancerne, przyczajone w krzakach. Ale na szczęście za późno - ułani już przegalopowali przez piechotę, skryli się między drzewa, zniknęli za fałdami wydm.

Ogień niemieckiej broni maszynowej dosięgnął jednak znajdujących się na lewym skrzydle natarcia ułanów, a także dowódcę pułku, oficerów i ułanów jego pocztu.

W szarży tej poległo ogółem około 10% uczestników.

Szarża 18go Pułku Ułanów Pomorskich pod Krojantami ułatwiła odwrót własnej piechocie i wywołała trwającą kilka godzin panikę w szeregach wroga.
Świadczą o tym wspomnienia gen. Guderiana dowódcy XIX Korpusu Wehrmachtu, w skład którego wchodziła walcząca z ułanami dywizja

250 282

Decyzja dowódcy Pułku była słuszna - Pułk zadanie wykonał.

W szarży tej zginęli.... żeby Polska żyła:

Dowódca 18go Pułku Ułanów Pomorskich pułkownik Kazimierz Mastalerz.

porucznik kawalerii Tadeusz Milicki - oficer ordynansowy dcy pułku.

rotmistrz Eugeniusz Świeściak - dca 1go Szwadronu, oraz około 20 ułanów szeregowych

— " —

Powstał projekt wzniesienia na miejscu sławnej szarży - pomnika.

Szarża Plutonu ppor. Henryka Mormana z Kawalerii Dywizyjnej 33 D.P. (Szwadron kawalerii K.O.P. Olkieniki) w rejonie Myszyniec w dniu 1. IX. 1939 r.

Fragment ten opisany w „Migawkach" w części V.

— „ —

Cytaty z pamiętnika Generała Dywizji Juliusza Rómmla – „Za Honor i Ojczyznę".

V.M. 5KI
V.M. 4W

14 p. uł.

N.M.
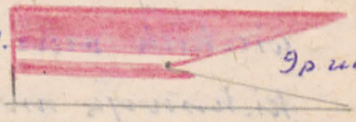
9 p. uł.

Dca Armii Warszawa – 28. IX. 1939

Rozkaz do Brygad Kawalerii Podolskiej i Wielkopolskiej:

Krótki był wasz pobyt w mojej Armii „Warszawa". Po ciężkich walkach w Armii

252 884

„Poznań" Brygada Podolska i Wielkopolska przebiły się przez pierścień wojsk niemieckich otaczających Warszawę i wzięły chlubny udział w obronie stolicy.

Muszę tu podkreślić zachowanie się naszego dowódcy gen. brygady Romana Abrahama, który zawsze był pierwszym tam, gdzie istniało największe niebezpieczeństwo. Przykładem swoim porywał oddziały, które wykazały największą brawurę i poświęcenie.
Wszystkie pułki kawalerii, dywizjony artylerii konnej wykonały swój żołnierski obowiązek do końca, lecz na czoło wszystkich wybił się 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich oraz 9 Pułk Ułanów Małopolskich swoją niezachwianą postawą, uporem i bohaterstwem.

Stawiam wniosek o najwyższe odznaczenie pułków nadaniem orderu Virtuti Militari na sztandary: 4 klasy na

sztandar 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich i 5 klasy na sztandar 9 Pułku Ułanów Małopolskich

(–) Juliusz Rómmel gen. dyw.
Dca Armii „Warszawa"

Ze swej strony dodaję, że sztandar 14 p. ul. był odznaczony orderem V. M. – 5 klasy za czyny bojowe w kampanii 1918-1920.

— „ —

V.M. 2. p. s. k

V.M 19 p. ul.

V.M 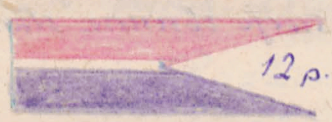 12 p. ul.

V.M. 21 p. ul.

Dowództwo Armii Łódź i Warszawa, dn. 13. IX 1939

Rozkaz pochwalny

dla Wołyńskiej Brygady Kawalerii – w składzie: 2 pułk strz. konnych, 19 ul. 21 ul. 12 ul. i 2 dyon art. konny.

Dziś, kiedy Wołyńska B.K. opuszcza Warszawę, wychodząc z grupą opor. kawalerii na wschód żegnam was, moi dzielni żołnierze . . . . .

2 D. A. K.

354 886

Krótki był wasz pobyt w mojej Armii „Łódź" i „Warszawa", lecz jakże bohaterski. Historia nigdy nie zapomni waszej postawy, uporu i poświęcenia wykazanego od pierwszych dni tej wojny.

Zaczynając od dnia 1 i 2 września Wołyńska B.K. w ciężkim boju pod Mokre z pancerną niemiecką dywizją odbiła wszystkie natarcia npla, zadając olbrzymie straty wrogowi.

Nie ustąpiła ani piędzi ziemi i nie przepuściła Niemców przez swoje obronne stanowisko . . . . . .

Wszystkie oddziały brygady rywalizowały ze sobą w przejawach odwagi i męstwa. Lecz na czoło wybił się swoją postawą 12 Pułk Ułanów Podolskich i 2gi Dywizjon Artylerii Konnej.

Oddziały te do końca zachowały całą swoją wartość bojową, nie bacząc na to, że 12 p.uł. stracił 60% składu szeregowych

i 80% w oficerach, tak samo jak i 2 Dyw. A.K.

Za ich wyjątkowe czyny oddziały te zasłużyły na najwyższe uznanie i nagrody.

Jako dowódca armii stawiam wniosek do rządu o nadanie orderu Virtuti Militari 5 klasy na sztandary 12 Pułku Ułanów Podolskich i 2 Dywizjonu Artylerii Konnej.

H. J. Rómmel
Dca Armii „Łódź" i „Warszawa"

— • —

Dwo Armii „Łódź" i „Warszawa" – 13. IX. 1939.

Rozkaz pochwalny
dla Pułku Kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza.

Od samego początku przybycia pułku do Armii „Łódź". Pułk Kawalerii K.O.P. pod dowództwem pplk. Kopcia Feliksa wykazał się jako wzorowy oddział. Wysunięty ku samej granicy, aż pod Wieruszów, Ostrzeszów i Kępno pułk uparcie i niezachwianie przeprowadził

od dnia 1go września, po dniu 3 IX 39 walki
opóźniające, stale przechodząc do przeciwnatar-
cia i biorąc jeńców wyświetlił sytuację.
Na pozycji głównego oporu pod Wartą brał
wybitny udział w walkach 4, 5 IX 39 pod
Bieleniem, Strońskiem i Piaskami.
Podczas odwrotu ku Wiśle pułk w czasie cięż-
kich walk nigdy nie ustąpił ani piędzi z
zajmowanej pozycji - odchodził tylko na rozkaz
do końca zachował wzorową postawę, świecąc
przykładem dla innych oddziałów.

Żołnierze Pułku Kawalerii K.O.P. odchodzi-
cie teraz na wschód z grupą operacyjną kawaler
Dziękuję Wam w imieniu służby za waszą wy-
trwałość, za żołnierską postawę i ofiarność - ży-
czę Wam nadal powodzenia bojowego ku chwa-
le Ojczyzny

Za wybitne zasługi dowódcze, za wyka-
zane męstwo i odwagę nadaję order Virtu-
ti Militari 4 kl. dowódcy pułku - płk. Kop-
ciowi Feliksowi oraz przyznaję dla pułku

10 krzyży Virtuti Militari do dyspozycji dowódcy pułku, celem odznaczenia najdzielniejszych jego żołnierzy.

(-) J. Rómmel gen. dyw.

Szarżę plutonu ppor. Henryka Mormana opisałem w „Migawkach" na str. 803, 804, 805.

— 〃 —

Z tych - kto wyszedł ze mną z Olkiennik 27. 8. 1939 spotykam dwóch:

1. ppor. rez. Ildefonsa Houwaldta, - mieszka w Poznaniu - jest artystą plastykiem.
2. wachmistrz Władysław Butwiłowski - mieszka w Gryficach - emeryt.

—/—/—/—

Pisząc „Migawki" - buduję pomnik - tej... którą umiłowałem - Sławnej Kawalerii Polskiej

Jarosław Jerzy Skały